

Skrót ^{relacji} wspomnień Czesława Burzyńskiego

ur. w 1918 roku, we wsi Racisze

W 1937 roku autor wspomnień wstępuje do Wojska Polskiego w urodnie Kompania łączności 29 Dywizji Piechoty. Skierowany do Szkoły podoficerskiej w Zegrzu w 1938 roku kończy ją i wraca do macierzystej jednostki. Wybuch wojny i pierwsze starcia z Niemcami. Po kapitulacji wzięty do niewoli przez Niemców, skąd w listopadzie ucieka i wraca do rodzinnej wsi. Nawiązuje kontakty i postanawia założyć podziemną organizację do walki z okupantem. Ale w tej okolicy okupantów jest dwóch. W obawie przed aresztowaniem przez Rosjan przekracza granicę rosyjsko-niemiecką. Złapany przez Niemców zostaje osadzony w areszcie w Sejnach. Ucieka i wraca na stronę rosyjską. Działa w konspiracji w ZWZ. Gdy na skutek jego działalności grunt zaczyna mu się palić pod nogami zgłasza się ochotniczo do Wojska Polskiego i zostaje skierowany do Zamościa do Szkoły Podchorążych łączności. Tu nawiązuje kontakty z organizacją AK i przechodzi do partyzantki. Na skutek działań pacyfikacyjnych prowadzonych przez Rosjan, oddział rozformowano a Burzyński z dwoma kolegami w sierpniu 1945 r. udał się do Gdańska a następnie do Augustowa. Po wojnie pracuje w urzędzie gminy Lipsk, gdzie ma szerokie możliwości zdobywania fałszywych dokumentów partyzantom AK wciąż aktywnych na tych terenach. W 1946 roku zawiera związek małżeński z Marią Zapolską. Przez kilka miesięcy cieszy się rodzinnym szczęściem i w momencie kiedy Maria jest w 6 miesiącu ciąży, 20 marca 1947 roku zostaje aresztowany przez UB i przekazany Rosjanom

jako "wróg państwa sowieckiego". Cztery tygodnie trwało śledztwo i badania Burzyńskiego. Rozprawa odbyła się 20 lipca. Wyrok brzmiał kara śmierci. Później kara śmierci zostaje zamieniona na 20 lat katorgi. Przewieziony do Workuty od 1948 r. zostaje skierowany do pracy w kopalni. W bardzo ciężkich warunkach przebywa w łagrze pracując w kopalniach, a w chwilach znacznego pogorszenia stanu zdrowia na powierzchni, np. w kuchni.

Po śmierci Stalina ogłaszają amnestię dla politycznych, ale zwolnienia nie obejmują Burzyńskiego. Pisze więc skargi do rosyjskiego MSW, do Rady Najwyższej ZSRR. 20 kwietnia 1957 roku otrzymuje wiadomość, że zostaje zwolniony z łagru po dziesięciu latach pobytu. 24 kwietnia wyruszył z Workuty do Moskwy, a następnie przez Grodno i Brześć do Białej Podlaski. Zamieszkał z żoną w Goleniowie. Na skutek naświetlenia oczu podczas przesłuchań a potem ciężkiej pracy w kopalni stracił wzrok. Mimo to jest człowiekiem pogodnym, pisze wiersze i swoje pamiętniki.

Indeks nazwisk

Adanowicz

Berling, gen.

Bojańczyk Jerzy

Bołtuć

Bertnowski, gen.

Buchowiecki M.

Burakiewicz Bolesław

Burzyński Czesław

Cisak

Cnała

Czaja

Czyl Antoni

Damiszewski

Dojew

ps. Góra

Gołubcow

Halinowski

Ignatowicz

Józefowicz

ps. Kajtek

Kasiak Witold

Kłosowski

ps. Konar

Korczyński Bolesław

Kozielski

Kożuchowski

Lisow

Mackiewicz

Maczek

Makarczyk Bronisław

Majew

Mienczyk

Milewski Mirosław

ps. Młot

Muszyński

Nawaradze

Nowikow

Ochrem

Pawluczyk Adolf

Rajkowski

Rodiewicz

Rupiejko

Sacharow

Sapożnikow

Sawicz

Sieczko

Skalet

Skownian

Staszewski

Szematowicz Bolesław

Sznek

Trzciniński

Wierzbiniński Stanisław

Wiktor

Winogradow

Winokurow

Zaniewski Bolesław

Urodziłem się w roku 1918, w Polsce we wsi Racisz, powiat Augustów. Rodzice mieli 18-hektarowe gospodarstwo. W 1923 roku zmarł ojciec, pozostała matka z sześciorgiem dzieci. Najstarsze miało 20 lat, najmłodsze 2,5 roku. Warunki były bardzo trudne. Ciężko było bez ojca wychowywać dzieci i pracować na roli. Od 7 roku życia poszedłem do szkoły. Skończyłem siedmioklasową szkołę powszechną w Raciszach. W tym czasie przez trzy lata należałem do harcerstwa. Po ukończeniu szkoły zająłem się pracą na wsi.

W roku 1937 wstąpiłem do Wojska Polskiego, kompania łączności 29 Dywizji Piechoty w Grodnie. W 1938 roku skończyłem szkołę podoficerską w Łęgrzu i wróciłem do macierzystej jednostki. Tu pełniłem funkcję dowódcy drużyny, w stopniu kaprała. 24 sierpnia 1939 roku ogłoszono alarm, a 27 sierpnia wyjechaliśmy z jednostki.

Znaleźliśmy się w Rawie Maz., gdzie byłem przydzielony do plutonu Kwatery Głównej Dowództwa 29 Dywizji Piechoty. Pełniłem funkcję dowódcy patrolu sygnalizacji świetlnej i łączności z lotnictwem. Byłem również zastępcą dowódcy plutonu Kwatery Głównej Dowództwa Dywizji. Tam 1 września zaatakowały nas samoloty niemieckie. Zaraz z Rawy Maz. byliśmy rzućeni w kierunku Sulejowa. W okolicach Sulejowa doszło do groźnego starcia z Niemcami. Dowództwo dywizji przy którym byłem już na trzeci dzień znalazło się w kleszczach operacji niemieckich. Samoloty bombardowały bez przerwy, łączność zaczęła się rwać. Próbowaliśmy sygnalizacji świetlnej, ale i to się nie udało, bo Niemcy szybko się zorientowali. Dookoła pełno było dywersantów niemieckich. Drużyna, która poszła zakładać linię jeszcze pierwszej nocy przed wybuchem wojny,

została zniszczona, wszystkich zamordowano.

Następnie spod Sulejowa ruszyliśmy w kierunku na Wieluń. Tam mieliśmy wzmocnić jakieś jednostki. Jednak nie dotarliśmy do celu. Zawróciliśmy w kierunku na Łódź. Tam mieliśmy nawiązać łączność z gen. Bortnowskim. Nie udało się, bo Bortnowski został już okrążony i rozбитy. Zaczęliśmy się cofać w kierunku Nowego Miasta. Pod Nowym Miastem Sztab Dowództwa Dywizji został rozбитy. Zaatakował nas pluton niemiecki. Stoczyliśmy z nimi walkę, ale przeważające siły wroga pokonały nas. Kilku oficerów zginęło, reszta wycofała się. Wycofałem się także i ja, jako rozbitek, ponieważ pluton nie był w komplecie. Zostało nas tylko 12 z 30 ludzi plutonu. Wycofaliśmy się spod Nowego Miasta w kierunku Wisły, pod Sulejówek. Jako rozbitek przepравиłem się przez Wisłę i dotarłem do Warszawy. Uczestniczyłem w obronie miasta na odcinku Warszawa-Łódź. Tu spotkałem dowódcę plutonu łączności z 76 pułku, Roziewicza. Pod jego dowództwem walczyłem aż do kapitulacji Warszawy. Po kapitulacji dostałem się do niewoli niemieckiej, byłem w Górze Kalwarii, skąd udało nam się uciec we trzech. Był listopad, ciemna noc, obóz stał w polu, ogrodzony drutami, a ponieważ ogrodzenie było słabe przedostaliśmy się na drugą stronę.

Przeszedłem przez Bug koło Brześcia i pojechałem w kierunku Białegostoku. W Białymstoku zahaczyli nas Rosjanie, chcieli nas aresztować. Wykorzystaliśmy chwilę nieuwagi i udało nam się zwinąć. Wyszliśmy za Białystok. Wynajęliśmy wozaka, który zawiózł nas aż do Czarnowoi. Stamtąd pojechaliliśmy do Grodna. Wysiedliśmy na stacji i chcieliśmy iść na przełaj, tak żeby ominąć miasto, ale tam stały jednostki rosyjskie. Wartownik zauważył nas w polu i wystrzałem zaalarmował całą

wartownię. Otoczyli nas i zatrzymali, szukali broni. Byłem zaskoczony, nas było trzech, a ich chyba 25. Byli dziwnie uzbrojeni, źle ubrani w porównaniu do żołnierzy polskich. Zrewidowali nas, kazali pokazać ręce. Ręce były dość czyste, wyglądałem młodo, ubranie żołnierskie miałem dobrze dopasowane wobec tego wzięli mnie za oficera. Uratował mnie znajomy z sąsiedniej wsi, Daniszewski, był w saperach, w 29 dywizji. Ja nie znałem rosyjskiego, ale ten znajomy wyjaśnił im, że nie jestem oficerem. Ja jego znam - mówi - on chodzi po wsiach i pracuje u gospodarzy. Daniszewski dobrze mówił po rosyjsku, Rosjanie uwierzyli mu i to mnie uratowało. Sprawdzili ręce jeszcze raz, porozumieli się między sobą, kazali nam trzymać się dróg i puścili nas, odprowadzając tylko do drogi.

Wróciłem do domu, do wsi Racisze. Spokój miałem tylko przez dwa tygodnie. Wyjechałem do swojego brata, do wsi Łabna, 7 kilometrów rowerem. W tym czasie, a był to koniec listopada, wpadli do wsi Rosjanie. Aresztowali 7 ludzi. Po mnie też przyszli, ale mnie nie zastali. Do domu już nie wróciłem, bo po drodze znajomi uprzedzili mnie o tym co się stało. Zacząłem się ukrywać. Nawiązałem kontakt z Bolesławem Zaniewskim, synem Jana, sierżantem z 41 Pułku Piechoty w Suwałkach i z komendantem gminy Hołynka, komendantem policji Kłosowskim. Postanowiliśmy zawiązać podziemną organizację przeciw okupantom.

Jedną część powiatu augustowskiego zajmowali Rosjanie, drugą Niemcy. Powstała już komórka organizacyjna. Było nas trzech. Naszym zadaniem była agitacja przeciw Rosjanom, uświadamianie młodzieży, żeby nie garnęła się do głosowania, które było wyznaczone na 5 grudnia 1939 roku. Nadal musiałem

się ukrywać, Rosjanie szukali mnie, od czasu do czasu wpadali do domu. W 1940 roku jedna z koleżanek, która pracowała w rosyjskim urzędzie, powiadomiła mnie, że mają mnie aresztować za wszelką cenę. Wobec tego zdecydowałem się, że pojedę za granicę rosyjsko-niemiecką.

20 września 1940 roku poszedłem w kierunku granicy. Obejrzałem ją sobie dokładnie, wszędzie gęste zaskieki. Ale zauważyłem, że na styku między strażnicami jest luka. Patrole ze strażnic schodziły się, a potem rozchodziły. Postanowiłem przejść granicę w bagnistym miejscu. Żeby zmylić i upozorować, że to ktoś ze strony niemieckiej przechodził na stronę rosyjską, siedłem tyłem przez pas graniczny 10 metrowej szerokości, zapronowany i wypielęgnowany. Potem przeszedłem przez druty i siedłem ścieżką przez bagnistą łąkę. Doszedłem do rzeki Wołokuszanki, przepłynąłem ją koło wsi Wołokusz. Wios była wysiedlona, bo leżała na pasie neutralnym, przygranicznym. Wyszedłem na stronę niemiecką. Tam trafiłem na głęboki rów melioracyjny z wodą. Chciałem go przejść i wpadłem na patrol niemiecki. Niemcy aresztowali mnie, zaprowadzili do strażnicy. Tam kilkakrotnie wypytywany byłem przez oficera. Następnie przewieziono mnie do Mikoszówki, a stamtąd do Sejn, do Westapo. Dołączono do mnie więcej chłopaków, którzy przekraczali granicę od Sokółki i z innych stron. Siedzieliśmy w Sejnach w areszcie. Westapo badało szpieg czy nie szpieg? Kto wysłał? Dlaczego przyszedł? Bitonas, głodowaliśmy. Więzienie było zawieszane. Tam byłem 6 tygodni. Zorientowaliśmy się jak pełnią straż. Dostawał tylko jeden Litwin, który zamykał po apelu, po godzinie ósmej i wychodził. Ale nieraz słychać było, że nie zamknął dokładnie drzwi. Wobec tego spróbowaliśmy przez okienko kontrolne

wysunąć rękę i sprawdzić, czy kiedy nie zamknie na kłódkę można odsunąć sztaby. Pewnego razu udało się. Z naszej celi wyszło ośmiu, otworzyliśmy też drugą celę. Było nas trzynastu. Wyłamaliśmy palenisko w ceglanych piecu i deskami przebiliśmy w tym miejscu ścianę. Dostaliśmy się do pokoju w którym nas przesłuchiowano. Było tam okno w którym wyłamaliśmy kraty i wyszliśmy. Niemcy i strażnik, który nas pilnował urządzili sobie tej nocy zabawę. Strażnik spił się i nie pozamykał wszystkiego jak trzeba. Tak udało nam się uciec. To był taki szczęśliwy bieg okoliczności.

Rozbiegliśmy się w różne strony, bo w grupie łatwiej byłoby nas złapać. Ja miałem jeszcze do wykonania zadanie. Spotkać się z Kłosowskim. On był wtedy już po stronie niemieckiej. To był ten z naszej trójki, pierwszej komórki Polskiego Związku Podziemnego. Kierowałem się do niego. Ponadto Zaniewski kazał mi spotkać się z byłym wójtem w Berżnikach. On też należał do komórki konspiracyjnej. Znalazłem go, spotkałem też i innych znajomych uciekinierów ze strony rosyjskiej Makarczyka, Czyla, Mienczyka, Pawluczyka. Zostaliśmy tam przez jakiś czas.

Na Wigilię Bożego Narodzenia postanowiliśmy iść z powrotem na stronę rosyjską. Było nas czterech. Ja, Antek Czyl, Adolf Pawluczyk i Bronisław Makarczyk. Przygotowaliśmy białe prześcieradła i białą bieliznę, tak żeby wszystko było okryte. Mróz był silny. Z kierunku Sejna, przez Ciżby szliśmy w stronę wsi Muły /trzy kilometry od granicy/. Tu zatrzymaliśmy się na nocleg. Nono wstałem i poszedłem do Rudawki, do Kłosowskiego. Pracował wtedy w lesie jako drwal. Rozmawiałem z nim o sprawach konspiracji, i o tym czy łatwo jest przejść przez granicę. Przestrzegał nas, że jest bardzo sil-

nie strzeżona, radził nam nie iść. Ale nasze postanowienie było mocne, ustaliliśmy, że będziemy rozwijać działalność konspiracyjną po stronie rosyjskiej.

Granicę przekraczaliśmy w wigilię Bożego Narodzenia. Ruszyliśmy w kierunku Kalet. Trudno nam było zbadać bieg rzeki Czarnej Hańczy. Kończy się ona dużym rozlewiskiem, tędy musieliśmy przez nią przejść. Antoni Czyl dobrze znał te strony, stąd pochodził. Na wypadek gdybyśmy wpadli na patrol sowiecki mieliśmy przybrane rosyjskie nazwiska. Tam koło Suwałk jest dużo starowiernych Rosjan, którzy zamieszkali tutaj po wysiedleniu powstańców 1863 roku. Ja miałem nazwisko Lisow. Planowaliśmy tak, żeby Rosjanie nie myśleli, że jesteśmy uciekinierami na stronę niemiecką, a teraz wracamy. Doszliśmy do granicy, weszliśmy na rozlewisko. W połowie z wielkim łoskotem zakamzał się lód. Echo rozniosło hałas po całym lesie. Padliśmy, bo nie wiedzieliśmy co się dzieje. Tafla lodu tylko się ukruszyła i na szczęście nie pod nami. Popełzliśmy dalej, aż do samych drutów na brzuchach. Był silny mróz. Jakies -10, -12°C. Śniegu było pełno, bo padał cały dzień i noc. Przeszliśmy przez sowieckie zasieki. Na nogach mieliśmy kapcie, żeby nie robić hałasu, żeby śnieg nie skrzypiał. Doszliśmy do wsi Sonicze, tam spytaliśmy o drogę. Biegliśmy prawie aż do wsi Kozłowce. Ludzie szli akurat na pasterkę, my też poszliśmy do kościoła. Potem wróciliśmy do Sonicz. Umyliśmy nogi i obsypaliśmy tytoniem, żeby zmylić psi węch. Od godziny 15⁰⁰ kiedy wyszliśmy ze strony niemieckiej, szliśmy przez całą noc aż do godziny 6⁰⁰ nad ranem. Ruszyliśmy do wsi Kowniany. Wpadliśmy tam do znajomego gospodarza nazwiskiem Ochren. Chwilę porozmawialiśmy. Poczęstował nas herbatą. Mówił, że pełno jest w okolicy

Rosjan, że na granicy była jakaś strzelanina. Ludzie będą szli na mszę - mówi - to ja was wpuszczę do stodoły. Zamknął nas w stodole na kłódkę. Za jakiś czas usłyszeliśmy strzały, ktoś grzebał przy drzwiach, potem znów strzały. Szum, krzyk za stodołą. Nie wiemy co się dzieje. Za jakieś pół godziny przychodzi gospodarz i mówi, że byli we wsi Rosjanie z psami. Szukają dziesięciu szpiegów, którzy przeszli przez granicę. On powiedział Rosjanom, że nikogo tutaj nie było, i aby zmylić pościeg poprosił ludzi idących do kościoła, żeby przeszli koło jego stodoły. Tutaj Rosjanie zgubili ślad, ale pies mimo wszystko przyprowadził ich pod samą stodołę. Nie chcieliśmy dłużej zostawać w tej wsi i narażać gospodarza na niebezpieczeństwo w razie naszej wpadki.

Nie mówiąc nikomu dokąd idziemy, opuściliśmy stodołę. Znaleśliśmy piwnicę, której pilnował pies. Licząc, że pies zmyli Rosjan, przebiegliśmy obok niego i weszliśmy do piwnicy, tu ułożyliśmy się na kartoflach. Ktoś nas jednak zauważył, a że Antek miał braci w Wasilewiczach, zawiadomiono ich o nas. Do Czajła przyjechał brat i przywiózł nam jedzenie. Koło godz. 11 przyjechał do wsi cały duży patrol Rosjan w poszukiwaniu szpiegów, którzy przekroczyli granicę. Zawiadomiono nas, że robią rewizję po domach, stodołach, chlewach. Nie wiedzieliśmy co robić. Jeden z nas, Makarczyk, nie wytrzymał, chciał uciekać. Czyl i Pawluczyk proponowali, aby przygrzebać się w kartoflach, ale ja mówiłem, że pies i tak nas odkryje. Wobec tego wyszedłem na drogę. Patrząc, stoi wartownik. Odwrócił się do mnie plecami i odszedł. Pomyślałem sobie, że wyjdę na gościniec, a potem na górkę. Nagle strażnik odwrócił się znova i zawołał do mnie żebym się zatrzymał. Zdrętwiałem, ale idę dalej. No i teraz, kiedy za-

wolał mnie ten żołnierz przypomniałem sobie, jak u Ochrema dowiedziałem się jaki to jest sieł sowiet, czyli gmina, jak brzmi nazwisko przewodniczącego gminy. Nazywał się Szewczyk a koledzy śmiali się ze mnie pytając: - Po co ci to wiedzieć? Teraz podchodzę śmiało do żołnierza i żeby zrobić dobre wrażenie mówię do niego - zdrastujcie. Spytał dokąd idę. Odpowiedziałem mu, że dzisiaj jest święto, więc idę na zabawę. On jednak mówi, że nie wolno i zaczął mnie wypytywać z jakiej jestem wsi, z jakiej gminy. A ja mówię, głupiego ze mnie chce zrobić, czy co, przecież że z gminy Iwanowskiej. On mnie wtedy spytał o nazwisko przewodniczącego gminy. Krew uderzyła mi do głowy, ale mówię, że nazywa się Szewczyk i że urzęduje tutaj od niedawna. Nato on, że mam w acach do wsi i że będę mógł przejść dopiero za godzinę. Połegnałem się grzecznie i poszedłem z powrotem. Tylko dokąd iść? Niałem iść do piwnicy, żeby zdradzić kolegów? Wobec tego wszedłem do takiej wielkiej ubikacji. Mróz był siarczysty. Siedziałem tam i obserwowałem okolicę przez szczeliny. Zobaczyłem żołnierzy sowieckich jak weszli najpierw do mieszkania, potem do chlewa i na górę po drabinie. Przeszli obok ubikacji w której siedziałem, poszli do stodoły i do piwnicy. Wkrótce odeszli nie przeprowadzając na szczęście takiej szczegółowej rewizji. Oczekałem aż odjechały samochody. Pojechali w kierunku na Spockinie, gdzie mieli strażnicę. Ja natomiast przeszedłem za nimi tę miejscowość i wróciłem do wsi Kacizno.

W domu długo nie zostałem, poszedłem do znajomych. Z 19 na 20 czerwca 1941 roku zabrano i wywieziono na Syberię moją rodzinę. Ludzi ładowano do pociągów w Urodnie i Zosośnie. Transport z Urodna odjechał 21 czerwca o godz. 17. Ten transport dojechał tylko do Baranowicz. Tu zastała ich wojna.

Niemcy zaczęli bombardować Baranowicze, transporty idące na wschód również zostały ostrzelane. Ludzie przewożeni byli w wagonach towarowych, zakratowanych i zadrutowanych, tak że nie można było się z nich wydostać. Niemcy ostrzelali pociąg dwukrotnie i zrzucili bomby, które trafiły w lokomotywę. Spaliły się także dwa wagony z ludźmi. Rosjanie nie otwierali tych wagonów, wszyscy którzy byli w środku spłonęli żywcem. Przy kolejnym nalocie ucierpiała także rosyjska eskorta pociągu. Mojej rodzinie udało się wydostać. Brat miał siekiere, którą wyrębał dziurę w podłodze wagonu. Wydostał się i zaczął otwierać pozostałe wagony. Ludzie z pociągu schronili się w lesie. Po kilku dniach, kiedy Niemcy wkroczyli do Baranowicz, zaczęli odsyłać tych, których Rosjanie nie zdążyli wywieźć, z powrotem do Polski, do miejsca zamieszkania.

W tym czasie, tzn. od momentu kiedy wróciłem do Kacicz musiałem się ukrywać, NKWD praktycznie sparaliżowało działalność konspiracyjną. Ja ograniczałem swoją robotę do agitacji. Znajdowałem się w strefie przygranicznej /7 kilometrów do granicy niemieckiej/. Rosjanie budowali tutaj umocnienia, fortyfikacje nadgraniczne tzw. toccki. Wszędzie było ich pełno. Wokół wsi Kacicze także budowali te toccki, a oprócz tego lotnisko polowe. O istnieniu ZWZ oczywiście wiedzieliśmy, staraliśmy się działać w głębokiej konspiracji zwłaszcza po wpadce ZWZ w województwie wileńskim, kiedy to NKWD odkryło dużą ilość broni. Kiedy rodzina wróciła rozpoczęliśmy naszą działalność. Z Bolesławem Zaniewskim, Kłossowskim ps. Zwirko, był również z nami Skalet, Szematowicz, Skownian /dowódca batalionu/.

W 1941 roku pełniłem funkcję łącznika, potem dowódcy dru-

zyny, którą sam zorganizowałem. Następnie przeszedłem na komendanta komórki dywersyjnej na terenie gminy Łedno /to jest taki pomost między Grodnem a Puszcą Augustowską/. Jednocześnie pełniłem funkcję zastępcy dowódcy plutonu, a potem nawet dowódcy plutonu. W ramach naszej działalności zakładaliśmy podsłuch na liniach telefonicznych łączących Grodno i Sopoćkinie. Także na liniach telegraficznych. To było przydatne zwłaszcza przy akcjach czy przerzutach. W ten sposób mogliśmy dowiadywać się czy Niemcy wiedzą coś o naszej działalności. Poza tym brałem udział w operacji "Burza". Zrobiłem udaną akcję na placówkę niemiecką Dorguń. Uczestniczyłem w blokadzie szosy Grodno-Augustów w miejscowościach Krasna i Hruskie. Tam zrobiliśmy zasadzkę wspólnie z oddziałem rosyjskich partyzantów, którymi dowodził Haliński. Naszymi partyzantami dowodził "Góra". Było to w lipcu 1944 roku. Utrudnialiśmy w ten sposób Niemcom wycofywanie swoich oddziałów tą szosą. Zerwaliśmy również most. Niemcy nie mogli korzystać z tej drogi, musieli jechać okrężną aż na Grajewo. Należałem do obwołu numer 7. Jego dowódcą był "Komar" w Augustowie. Dowódcą batalionu był Bolesław Szanatowicz /najpierw w stopniu porucznika, potem awansował na kapitana/, dowódcą kompanii był Bolesław Bura-kiewicz, szefem kompanii Bolesław Janiewski. Ja, jak już wspominałem, byłem komendantem Łedywu, a jednocześnie szefem plutonu.

Po zakończeniu działań na szosie Grodno-Augustów dostarczam meldunek, który trzeba było przekazać do "Młota" mieszkającego w Łosośnie. Linia frontu przebiegała wzdłuż szosy Sopoćkinie-Grodno-Augustów. Rosjanie atakowali w tym czasie Niemen i chcieli dostać się do Puszczy Augustowskiej. Moje

uderzenie na wieś Dorogun zdezorientowało Niemców. Nie wiedzieli z jakimi siłami mają do czynienia. Zabitych zostało 4 Niemców a kilku zostało rannych. To uderzenie spowodowało, że cofnęli się o jakieś trzy kilometry do wsi Perstuń. Ja natomiast mając polecenie przejścia przez linię frontu, wybrałem wzgórze koło wsi Prulejki. Nasze siły to był patrol 10 ludzi, ale Niemcy, którzy dopiero tu się wycofali nie znali jeszcze dobrze terenu i zostali przez nas zaskoczeni. Nie wiedzieli jakimi siłami dysponujemy. W lesie było 400 partyzantów rosyjskich i kilkuset Polaków. Po mojej akcji sztab niemiecki, który znajdował się we wsi Racieże, wycofał się o 7 kilometrów do wsi Naukowicze. Uznali widocznie, że ich linia frontu znajduje się zbyt blisko lasu, chcieli mieć czyste przedpole. Przedostałem się przez ich linię, było to miejsce bagniste i nie zdążyli się jeszcze okopać. Przed odejściem rozpuściłem swój Kedyw do domów, a broń kazałem zamelinować. Cały teren naszpikowany był Niemcami. Trzeba było się ukrywać. Przez Racieże biegła linia frontu. 26 lipca wyzwoliła nas armia sowiecka. Wróciłem do domu. Za jakieś dwa tygodnie Rosjanie zaczęli powoływać do wojska. Najpierw do rosyjskiego, ale cała nasza okolica była ściśle związana z AK. Nie było tu żadnej innej organizacji. Będąc komendantem Kedywu miałem za zadanie nie dopuszczanie na ten teren innych organizacji. Na wezwanie do armii rosyjskiej nikt się nie zgłosił więc pobór odwołano. Po jakichś sześciu tygodniach zaczęto brać do armii polskiej. Nikt się jednak nie zgłaszał więc urządzali łapanki. Tych złapanych gromadzili w miejscowości Swiack. Odsyłali ich przez Kuźnice do Białegostoku, do Wojska Polskiego, ci jednak przeważnie uciekali z powrotem.

Moja sytuacja była skomplikowana, Rosjanie zaraz zaczęli mnie szukać. Mieli jakieś informacje o tych, którzy wcześniej się ukrywali. Za pierwszym razem kiedy przyszli mnie aresztować, udało mi się zbiec przez drugie drzwi. Jednak za drugim razem udało im się mnie aresztować i odstawili mnie do Wojska Polskiego. Siedziałem w Świecku kilka dni. Potem skierowano naszą grupę, trzydziestu trzech mężczyzn do Kufnic. Tam jednak nie doszliśmy. Po drodze mieliśmy nocleg. Szykowałem się do ucieczki, chciałem obezwładnić wartowników bo było ich tylko dziesięciu. Nie znalazłem jednak chętnych do pomocy, bo to nie byli ludzie z naszej organizacji. Może dwóch czy trzech, a reszta to jacyś staruszkowie. Plan się nie powiódł. W Czechosłowacji zamknęli nas na noc w jakiejś stodole. Była ona pokryta dachówką. Chłopaki zdjęli kilka dachówek. Nie wiedzieliśmy, jak zmylić strażników, żeby nie chodzili wokół tej stodoły. Wpadłem na pomysł. Wziąłem pół litra wódki i kawałek mięsa i wyszedłem, niby do ubikacji. Chłopakom powiedziałem, żeby uciekali kiedy ja ściągnę na siebie uwagę strażników. Żołnierze chętnie usiedli do picia ze mną, ale kiedy usłyszeli, że spadają dachówki, wpakowali mnie z powrotem do środka. Sami pobiegli w tym samym kierunku i zaczęli strzelać. Obliczyliśmy, że zostało nas szesnastu. Z tych co uciekli nikt nie zginął, bo wartownik strzelał do tego, który właśnie wychodził, reszta była już w krzakach. Potem sześciu z nas zakopaliśmy w sнопkach w stodole, tak że kiedy Rosjanie przyszli do nas rano, było nas już tylko jedenastu. Ja sam się nie ukryłem, bo nie chciałem wracać. W domu i tak byłem poszukiwany. Przed naszym odejściem powiedziałem jeszcze gospodyni, że w stodole są ludzie, aby poszła tam później i uderzyła trzy razy

w deski. Ostrzegłem ją, żeby nie próbowała zdradzić, bo ja nad tym wszystkim czuвам.

Prowadzili nas do Kuźnicy, był to punkt graniczny Polski z Rosją. Samochodem przewieźli nas do Białegostoku. Po drodze uciekł jeszcze jeden. Zostało nas więc dziesięciu. Zaprowadzili nas do koszar 14 pułku. Tak się nazywał, ale był to czwarty pułk zapasowy 2 armii Berlinga. Zostawili nas w koszarach. Ja miałem się zgłosić do porucznika Czai. Poszedłem tam i zaneldowałem przybycie dziesięciu ludzi. Rosjanie do koszar nie wchodzili. Panował tutaj okropny bałagan, ludzie chodzili bez celu, nie mieli przydziałów, nie mieli gdzie mieszkać, było brudno. Znaleźliśmy wyjście do miasta przez płot. Widzieliśmy, że inni tamędy wychodzą i wchodzą. Ludzie prosili mnie, żebym ich wyprowadził. Nie było to zbyt trudne, bo nikt tam właściwie nas nie pilnował, taki tam był bałagan. Wysaliśmy więc na zewnątrz, ludzie skierowali się do domów. Ja jednak i Mieczysław Buchowiecki, mój kolega ze szkolnej ławy, postanowiliśmy nie wracać do domu lecz zostać w wojsku i zobaczyć, jak tam naprawdę jest. Takie mieliśmy zadanie od naszej organizacji. Nie wróciliśmy jednak od razu. Kilka dni spędziliśmy u znajomych Buchowieckiego na wsi. Poszliśmy do Białegostoku i już pod swoim nazwiskiem, jako Czesław Burzyński, zgłosiłem się ochotniczo do Wojska Polskiego. Odesłano mnie do tych samych koszar 14 pułku. Potem wraz z innymi chłopakami skierowano mnie do szkoły podchorążych. Z Białegostoku pojechałem do Lublina, na Majdanek. Byłem tam około trzech tygodni. Stamtąd przewieźli nas do Zamościa. Tutaj była Szkoła Podchorążych Łączności nazywana też Oficerską Szkołą Łączności. Zostałem przydzielony do 1 batalionu. Polacy byli tu bardzo różni, tzn. różnego pocho-

dzenia i z różnych organizacji podziemnych. Byli Polacy z rosyjskiej partyzantki, zwykli ludzie, członkowie AI-u. Dowódcą szkoły był Rosjanin, pułkownik dyplomowany Mackiewicz, dowódcą batalionu Nowikow. Naukę rozpoczęliśmy na przełomie listopada i grudnia. Nie mieliśmy tu porządnych ubrań, chodziliśmy w naszych, cywilnych. Spaliśmy na gołych deskach. Na Boże Narodzenie wydali nam płaszcze. Mówili, że dla polskiego wojska dużo przysyła UNRA, ale chyba to co było zielone wzięli Rosjanie, nam dali szare płaszcze i rogatywki. Na Pasterkę poszliśmy w czym kto miał, podarte spodnie i kalesony. To wszystko wychodziło spod płaszczy i ludzie śmiali się: "z tyłu łata, z przodu łata, to prawdziwy demokrata".

Szkoła była twarda. Ćwiczenia, służba ruchu, budowa linii, zajęcia polityczne. W marcu zostałem wyznaczony na dowódcę radiostacji obsługi wewnętrznej. Były to po prostu ćwiczenia. Jeden z chłopaków wszedł któregoś dnia na inną linię i usłyszał wiadomości o postępach armii gen. Maczka. W tym momencie otworzyły się drzwi i wpada Rosjanin. Pyta na jakiej fali słuchamy, a potem o dowódcę. Ja byłem dowódcą, więc zameldowałem się. Zacząłem się tłumaczyć niekompetencją mojego kolegi, ale to nic nie pomogło. Dostałem za to pięćnaście dni aresztu średniego tzn. chodziłem normalnie na zajęcia, a spałem w celi. Rosjanie zorientowali się, że dzięki radiostacji kontrolno-podsłuchowej słuchamy wiadomości na innej fali. Od tej chwili wiedziałem, że jesteśmy pilnowani i kontrolowani.

Nauka miała się zakończyć w maju. Stopnie miałem dobre i bardzo dobre, bo rzeczy te nie były dla mnie nowością. Skończyłem przecież w 1933 roku szkołę w Żegrzu, zakres nauczania

w Zamościu nie był szerszy, a poziom nawet niższy. Byli tam przecież ludzie z trzema klasami szkoły podstawowej, tylko dlatego, że należeli do AL lub CL. Na siłę chciano zrobić z nich oficerów, według zasady, że nie matura lecz chęć szczerą zrobi z Ciebie oficera.

Po ukończeniu szkoły nie otrzymałem awansu, nie wiem dlaczego. Kolega, który był kancelistą powiedział mi tylko, że był za mną list gończy z miejsca mojego zamieszkania. Okazało się później, że jeden z żołnierzy z mojego patrolu, Witold Kasiak, ps. "Kajtek" został aresztowany przez Rosjan. Na przesłuchaniach powiedział kto go zwerbował i kto był jego dowódcą. Dowiedzieli się, że jestem w wojsku. Matka też miała mój adres. Tu mnie przyhaczyli. Wcześniej nawiązałem kontakt z zamojskim okręgiem AK. Teraz, kiedy poczułem się zagrożony, poprosiłem o pomoc tutejsze AK i zostałem skierowany do oddziału w okolicy Zamościa, Wieś Wólka, Stabno. Później Rosjanie często prowadzili pacyfikację w tych lasach, więc oddział nasz rozformowano i przydzielono nas do pracy u gospodarzy. Wyrobiłem sobie dokumenty na nazwisko Bolesław Korczyński i pojechałem na zachód. Był sierpień 1945 roku. Byli ze mną Stanisław Wierzbński z Augustowa i Jerzy Bojańczyk z Warszawy. A więc w sierpniu ruszyliśmy na Zachód. Pojechaliśmy do Odańska, a stamtąd wróciliśmy do Augustowa. W powiecie augustowskim mieszkała moja siostra, u niej się zatrzymałem. Spotkałem się tam ze swoimi żołnierzami. Wcześniej na skutek działalności naszej partyzantki WIN-u została rozbita gmina Lipsk. Trzeba było wstawić do tej gminy swojego pracownika. Zgodziłem się. Zgłosiłem się tam, miałem przecież inne dokumenty, zupełnie nie z tych terenów. Oficjalnie pracę rozpocząłem od 1 września. Pełni-

żem funkcję referenta wojskowego i zastępcy sekretarza. Do granicy polsko-rosyjskiej było kilka kilometrów. Przechodzili przez nią nielegalnie polscy partyzanci z AK. Ja miałem możliwość wydać lub zarejestrować im dokumenty, przeważnie lewe. Kiedyś ktoś wpadł z wydanymi przeze mnie nielegalnymi papierami. Wytłumaczyłem się, że wystawiam je na podstawie pisma sołtyasa stwierdzającego, że dana osoba mieszka na tym terenie. Dokumenty stemplował mój krewny, który pracował w milicji.

W 1946 roku poznałem tu moją żonę, Marysienkę Zapolską. Postanowiliśmy się pobrać. Postanowiłem również wyjechać z gminy Lipsk do powiatu siżyckiego. Siżycko nazywało się w 46 roku Luczany. Tam, w Paprotkach pracowałem w charakterze księgowego /miałem ukończony taki specjalny kurs/. Pracowałem od 15 października do 20 marca 47 roku. Tego dnia przyjechali po mnie do pracy. Było ich dwóch, z pistoletami. Przyjechaliśmy do domu. Tu zrobili rewizję. Przypoznałem im, że jest amnestia, ale moje słowa nie odnosiły żadnego skutku. Wiedzieli, że naprawdę nazywam się Burzyński. Pytali dlaczego mam inne nazwisko. Tłumaczyłem się, że uciekłem z wojska bo nie dostałem awansu, dlatego zacząłem się ukrywać. Przeprowadzili rewizję i wypisali kartę aresztowania. Było to niezgodne z obowiązującą do 30 kwietnia amnestią. Najpierw pojechaliśmy do gminy, rozliczyłem się z kasy. Potem mnie zabrali. Okazało się, że jeden z nich to znajomy, ułek z Augustowa. Pochodził z Lipska, nazywał się Mirosław Milewski. Jego rodzina została rozstrzelana przez Niemców, którzy wzięli w Lipsku 50 zakładników. Rozstrzelali jego ojca, matkę, siostrę i brata. To ten późniejszy dygnitarz. Wtedy był to młody chłopak, miał nie więcej niż

20 lat. Bardzo brudził Akowcom w gminie Lipsk, był zawzięty. Wyzbierał w okolicy wszystkich, o których wiedział, że należeli do AK. Odwiózł mnie do Słku. Tam przenocowaliśmy. Żona została, później wróciła do domu. Była wtedy w piątym miesiącu ciąży. Bardzo płakała, oni ciągle mówili, że jestem wrogiem Polski Ludowej i muszę ponieść zasłużoną karę. Kiedy się rozstaliśmy, odwieźli mnie do Białegostoku. Tam Milewski kazał mi pisać wszystko o swojej działalności. Przyznałem się, że działałem na terenie gminy Hołynka i Łabno, że byłem łącznikiem. Nie mówiłem nic o Kedywie. Powiedziałem, że w 1944 zostałem zabrany do wojska z którego uciekłem, bo nie chcieli mnie awansować. To były chyba najbardziej dramatyczne chwile. Trzy dni siedziałem w UB w Białymstoku. 25 marca 1947 roku wywołano mnie z celi, kazano zabrać wszystkie rzeczy. Wywołał mnie Milewski. Podprowadził mnie do jakichś drzwi, otworzył i wepchnął do środka. Nim zorientowałem się, co się dzieje, bo światło było przyćmione, rzuciło się na mnie kilku drabów. Wykręcili mi ręce do tyłu, wcisnęli knebel w usta, ściągnęli kurtkę i nałożyli sowiecki płaszcz. Zamiast narciarki, którą miałem na głowie, założyli mi taką budzionówkę. Ręce skuli do tyłu. Wyprowadzili i wsadzili do samochodu. Nie wiedziałem dokąd mnie wiozą, ale zorientowałem się, że to byli Rosjanie. Oprócz mnie było w samochodzie jeszcze jedenastu żołnierzy rosyjskich.

Jechaliśmy ciężarówką pod plandeką. Całą drogę do Sokółki miałem zakneblowane usta. Kiedy usłyszałem nazwę Sokółka, wiedziałem już, że wiozą mnie w kierunku granicy. Na granicy kontrolowały nas polskie oddziały graniczne. Słyszałem jak zgłoszono stan dwunastu żołnierzy, szofera i cywila. Straż graniczna przepuściła nas oczywiście, bo przepustki

mieliśmy w porządku. Tego cywila dołączyli do nas w Sokółce, wrzucili go związanego. Po stronie rosyjskiej podjechaliśmy do budki strażniczej. Wrzucono mnie do niej. Zdjęto ze mnie płaszcz i budziennówkę. Opasano mnie w ten sposób, że splecano mi ręce tym razem z przodu. Wyprowadzili mnie stamtąd już jako cywila. Odbyło się to bardzo szybko. Nagle z pobliskich zarosli usłyszałem strzały. Wskoczyli z nich żołnierze z psami. Jeden z nich jechał na koniu. Wołali, że złapali faszystę z V kolumny, to znaczy mnie. To było w czasie roztopów. Ciągnęli mnie po takich rozmiękłych drogach. Ciągnęli przez całą wieś na sznurku i cały czas krzyczeli, że jestem faszystą, że to czujni żołnierze ujęli mnie na granicy. Ten oficer, który krzyczał był w stopniu majora. Tak gonili mnie, a w każdej wsi krzyczeli: "no faszysto, wystarczy ci już mordować grażdan sowieckich". Widziałem, że gdzieś tam ludzie spoglądali zza uchylonych firanek, ale oni robili tyle hałasu, że o żadnym tłumaczeniu z mojej strony nie mogło być mowy.

W strażnicy, do której mnie doprowadzili, przyjął nas jakiś pułkownik. Zwracał się do mnie: "wróg państwa sowieckiego", "faszysta z piątej kolumny" itp. Nie rozumiałem wszystkiego co do mnie mówił. Poprosiłem go, żeby mógł się załatwić, bo przecież miałem za sobą długą drogę. Przynieśli mi wiadro i otoczyli mnie, żeby im nie uciekł. Było ich chyba dziesięciu. Cały byłem przemoczony. O godz. 18 zabrano mnie sześciu żołnierzy. Znowu skrepowali mnie sznurami, tym razem kazali mi włożyć ręce do kieszeni spodni. Kiedy włożyłem ręce, nałożyli mi koszulę, sweter, marynarkę i pozapiinali kurtkę. Obwiązali sznurem.

Sześciu ludzi prowadziło mnie po torach kolejowych. Szliśmy

dość długo. Nie wiedziałem zupełnie w jakim idziemy kierunku. Było już ciemno kiedy doszliśmy do jakiegoś mostu. Tu postanowiłem uciekać, nawet gdybym miał zginąć. Uważałem, że to było lepsze niż pozostać w ich rękach. Poczujęm, że udało mi się łokciami podnieść ubranie i sznur trochę w górę, wyjąć dłonie z kieszeni. Szarpnąłem się mocno do tyłu. Uderzyłem jednego z żołnierzy. Ten chwycił się poręczy mostu, żeby nie wpaść do rzeki. Ale dwóch wartowników, którzy szli po bokach, nie wypuściło mnie. Chwycili mnie mocno za sznur i ubranie i pociągnęli na drugą stronę mostu. Tam za tę próbę ucieczki zaczęli mnie bić i kopać. Na wpół przytomnego, pobitego, ciągnęli mnie dalej do jakiejś wsi o nazwie Korupczyce. Tam miał czekać na nas samochód, którym miano przewozić mnie do Grodna. Niemen wezbrał tego roku tak bardzo, że woda przelewała się przez postawiony naprędce most, a most, który przeznaczony był do ruchu kołowego, zbudowany jeszcze w 1936 roku, był podziurawiony i nienaprawiony.

W drodze do Grodna przywiązano mnie do opony, żeby nie uciekłem, a potem związanego, na noszach zaniesiono mnie do więzienia na ulicy Listowskiego. Zaraz też rozpoczęto w mojej sprawie dochodzenie. Badał mnie jakiś major. Przedstawił mi zarzuty, a więc konspiracja w AK, ukrywanie się w latach 1939-40. Mieli o mnie sporo wiadomości, znali dość dużo szczegółów. Po całonocnym badaniu wrzucili mnie do celi. Był tam już jakiś chłopak. Nazywał się Adamowicz ze wsi Adamowicze. Znałem tę wieś. Mówił on po polsku, to był Polak. Powiedział mi, że siedzi już sześć miesięcy. Wyglądał całkiem nieźle. Miał jeszcze zapasy jedzenia, którymi się ze mną podzielił. Powiedziałem mu, że wzięli mnie chyba za

kogoś innego. Bałem się mówić coś więcej, bo mógł to być przecież szpicel. Po całym dniu pobytu w celi, około trzeciej, przyszli po mnie znowu. Wywołali mnie, kazali zabrać swoje rzeczy i zaprowadzili do jakiegoś pokoju. Tam siedział już cywil. Miał przed sobą rozłożone papiery. Oprócz niego był tam jeszcze jakiś Rosjanin. Spytali mnie, ile razy przechodziłem przez granicę. Nie przyznawałem się do niczego i powiedziałem, że ani razu nie przekraczałem granicy. A on pokazuje mi kogoś i mówi, że to mój szwagier i że ja u niego bywałem. Nie przyznałem się do tego. Odpowiedziałem, że nie znam swojego szwagra, bo jego siostra przyjechała do Polski i tu się z nią ożeniłem. On jednak twierdził, że to nieprawda. Wreszcie dał spokój pytaniom. Znowu skuli mnie kajdankami i posadzili na krześle. Cywil, który był obecny przy przesłuchaniu, zaczął rozwijać jakiś pakunek. Był tam klej. Wysmarowali mi nim twarz, dolepili brodę i wąsy. Zaczęli mnie charakteryzować. Uszmkowali tak, że zupełnie nie przypominałem siebie. Znowu nałożyli mi budziennówkę, płaszcz i skuli ręce kajdankami. Sześciu wartowników zaprowadziło mnie do samochodu. Samochodem odwieźli mnie na stację kolejową w Grodnie. Tam usłyszałem, że nasz pociąg jedzie do Baranowicz, a więc na wschód. Zdziwił mnie ich pośpiech i to, że wywozili mnie nawet bez sądu. Dojechaliśmy do Baranowicz. Tam wysiedliśmy. Odprowadzono mnie do aresztu kolejowego. Kajdanek nie zdejmowali mi ani na chwilę. Nie pozwalali mi także zrywać brody i wąsów grożąc pobiciem. Siedziałem sam. Później przyszedł jeden z wartowników i spytał, czy chcę coś zjeść. Odpowiedziałem, że nie mam ochoty, ale chciałbym iść za potrzebą. Nie pozwolił mi na to i kazał robić w spodnie. Tak też zrobiłem.

Nie było ich całą noc, ale oczywiście straż mnie pilnowała i na ucieczkę nie było żadnych szans. Przyszli znova około godziny trzeciej i zabrali mnie. Jechaliśmy do Mińska. Tego dowiedziałem się na stacji, od spikera ogłaszającego odjazd przez megafon. W Mińsku usiedliśmy w poczekalni. Po jakimś czasie przyprowadzono jakiegoś wyrostka i starszego mężczyznę, który miał pokrwawione ręce. Ubrany był w łachmany. Spytałem tego drugiego dlaczego go tak urządził. Okazało się, że ten młodszy był zdemobilizowanym żołnierzem, stary dopiero niedawno wyszedł z więzienia czy obozu, gdzie odsiadywał dwa lata. Żołnierz uzbrojony w żyłkę napadł na starszka, żeby zabrać mu torbę z chlebem, a ponieważ tamten kureczowo ją trzymał, pociął mu ręce żyłką. Żołnierza zatrzymano. A ja przyglądałem się tej całej scenie i myślałem sobie, jaka tu musi panować bieda, brud i bałagan. Starsz-kowi zabandażowali ręce i kazali odejść. Tego młodszego zatrzymali, ale kiedy stary odszedł puścili go wolno. Wreszcie przyszli i po mnie.

Zabrali mnie zakrytym samochodem zwanym pospolicie "czarny woron", u nas to się nazywa "suka". Wpakowali mnie do środka, oczywiście dłonie miałem skute kajdankami. Jechaliśmy przez Mińsk. Szybko straciłem orientację, w którym kierunku mnie wiozą. Wreszcie dojechaliśmy do więzienia. Nie zmyto mi szninki ani nie odklejono brody i wąsów, tylko czapkę budziennówkę zamieniono na cywilną. Później dowiedziałem się, że więzienie to nazywano "amerykanką". W rewizji osobistej uczestniczył sam naczelnik więzienia. Kazano mi rozebrać się do naga. Zglądali wszędzie. Taka szczegółowa rewizja wydawała mi się dziwna. Pozwolono mi tu wreszcie po dwóch dniach odkleić brodę i wąsy. Potem zapro-

wadzono mnie do celi. Tym razem już pojedynczej. Była ona szeroka na nie więcej jak 160 cm, a długa na 2,5 metra. Znajdowała się na parterze lub w suterenie. Okienko było małe, zakratowane. W celi dostałem coś do jedzenia, jakąś kaszę. Ręce miałem strasznie spuchnięte i obolałe od tego, że cały czas były skute kajdankami lub związane sznurem. Czekałem na dalsze wypadki.

Okolo ósmej wieczorem ktoś otworzył judasza i po rosyjsku spytał mnie o nazwisko. Udawałem, że nie rozumiem. Odpowiedziałem dopiero kiedy spytał o to samo po polsku. Wartownik kazał mi się ubierać. Nie wiedziałem dokąd znów mnie chcieli wieść. Jeździliśmy długo po całym Mińsku, aż zatrzymaliśmy się wreszcie przed wielkim gmachem. Wprowadzono mnie po schodach na górę. Zatrzymaliśmy się przed jakąś kotarą i czekaliśmy. W końcu kotara uchyliła się i zezwolono nam wejść. Prowadziło mnie jak poprzednio sześciu strażników. Weszliśmy do pokoju w którym wszystko obite było na czerwono, a na ścianach wisiały portrety Stalina i Lenina. Na środku stał stół zasłany czerwonym sukna. Po jego stronie siedział pułkownik, naprzeciw niego generał, a pośrodku cywil. Generał zwrócił się do mnie po niemiecku i kazał mi usiąść. Przed stołem stało puste krzesło. Zrobiłem zdziwioną minę udając że nic nie rozumiem. Kiedy przetłumaczono mi jego słowa na polski, usiadłem tam gdzie stałem, na podłodze. Oni jednak kazali mi usiąść na krześle, a właściwie na taborecie. Pod ścianą siedziało jeszcze kilku oficerów, pułkowników i podpułkowników. Rozpoczęło się przesłuchanie. Generał rozłożył przed sobą plik papierów. Potem dowiedziałem się, że nazywał się on Cnaka, minister Spraw Wewnętrznych BSSR. Swiecono mi prosto w oczy mocną żarówką. Oni sie-

dzieli w cieniu. Pytano mnie o wszystko. A więc kim jestem, skąd jestem, w jaki sposób przedostawałem się przez granicę. Zaprzeczałem temu ale oni twierdzili, że przecież właśnie zostałem ujęty na granicy. Na nic się zdały moje tłumaczenia. Potem pytali o moją działalność w AK. Jakie pełniłem funkcje. Przedstawili mi wtedy zeznania Witolda Kasiaka, a także Zaniewskiego /nie tego o którym wspominałem, lecz jego krewniaka z którym współpracowałem/. Nie przyznawałem się do niczego, ale zobaczyłem, że mają o mnie sporo informacji. Próbowali nakłonić mnie żebym opowiedział o swojej działalności. Opowiedziałem więc to, co i tak wiedzieli, co dotyczyło pracy przeciwko Niemcom. Generał zarzucał mi, że zbierałem informacje po drugiej stronie granicy, że pracowałem jako zwiadowca. Pokazał mi jakieś papiery. Kiedy zobaczyłem, że wiedzą dużo, powiedziałem, że pisałem różne rzeczy, bo pracowałem jako referent w gminie. Generał pytał mnie też o zabójstwa na terenie gminy, ale ja mówiłem, że o niczym nie wiem, bo byłem już wtedy w wojsku. I tak w kółko. Przesłuchanie trwało długo. Siedziałem cały czas przed tą zapaloną lampą. Nie chciałem niczego podpisać, ani zeznań, ani tego, że jestem obywatelem ZSRR. Około godziny drugiej generał poszedł. Został tylko pułkownik, który dalej prowadził śledztwo. Nadal nie chciałem niczego podpisać. Pułkownik chciał żebym podał mu nazwiska współpracowników z AK. Około czwartej przyszedł generał i kazał mnie odwieźć. W więzieniu znówu mnie przesłuchiwali. Ja nadal twierdziłem, że jestem niewinny. Kiedy pytali o AK powiedziałem, że wstąpienie do organizacji było moim obowiązkiem jako Polaka. Służyłem przecież w wojsku Polskim, walczyłem w Wojnie Obronnej. Jako patriota miałem więc obowiązek walczyć z

Niemcami. Oni zaczęli mi tłumaczyć, że AK walczyło o granice z 39 roku, a więc przeciwko Rosji, pytali dlaczego nie wstąpiłem do radzieckiej partyzantki, lecz do reakcyjnego podziemia. Na to odpowiedziałem, że nie mają żadnych dowodów na to, że walczyłem z Rosjanami. Przepytywali mnie przez cały czas. Jeden ze śledczych nazywał się Winogradow. Ten maltretował mnie w czasie przesłuchań. Karmiono mnie zupą z czarnych buraków z rybą. Do tego dostawałem 550 gram chleba dziennie. Była to akurat wiosenna pora i organizm mój był bardzo wycieńczony.

Badania zaczynały się o godzinie ósmej rano. Na przesłuchaniu byłem do czwartej, piątej. Wpół do szóstej wracałem do celi. Tu dostawałem zimny obiad, to znaczy tę zupę, którą trudno było nawet włożyć do ust. Wtedy mogłem trochę odpocząć, nawet położyć się na pryczy. Kiedy prycza była rozłożona w celi zostawało jakieś 30 na 50 centymetrów wolnej przestrzeni. Cały czas byłem obserwowany przez okienko w drzwiach. Rewizja osobista co drugi dzień, rewizja przy każdym wyprowadzeniu. Kiedy wracałem do celi moje rzeczy były zawsze przewracane. Spałem na gołej pryczy, bez żadnego posłania. Śledztwo trwało cztery tygodnie. Doprowadzili mnie do takiego stanu, że nie mogłem o własnych siłach wchodzić po schodach. Często traciłem przytomność. Po krótkiej przerwie zaczynało się od początku. Chcieli, żebym przyznał, że jestem obywatelem Związku Radzieckiego. Oświadczyłem, że tego nie podpiszę, mogę się tylko podpisać pod tym, że należałem do AK. Kategoriecznie odmawiałem podpisania. Mówiłem, że walczyłem tylko przeciwko Niemcom, a nie przeciwko Rosjanom. Oni mówili, że AK to organizacja faszystowska i że ja chodziłem przez granicę. Nadal nie podpisywałem.

Potem znowu mnie bili. Później powiedzieli, że nie muszę już podpisywać, że jestem obywatelem Związku Radzieckiego, ale chcieli żebym podpisał inne dokumenty. Zrobili przerwę w przesłuchaniach. To było około 1 maja. W maju nie przesłuchiwali mnie przez jakieś dwa tygodnie, później wszystko zaczęło się od początku. Te same pytania, bicie. Szarpanie za włosy, bicie po twarzy, plucie w twarz. Nie wytrzymałem. Nie wytrzymały moje nerwy. Podczas przesłuchania siedziałem na wypukłym taborecie. Był bardzo niewygodny, wchodził w pośladek. Kiedy mnie bito, chwyciłem z tyłu taboret i machnąłem na tego mojego śledczego. On zdażył tylko się odchylić, ale zawadziłem go za nos. Zdarłem mu naskórek. Zalał się krwią. Narobił krzyku. Wskoczyli wartownicy. Nałożyli mi kajdanki. Wrzucili mnie do karceru, gdzie przesiedziałem trzy dni. Czwartego dnia straciłem przytomność. W tym karcerze nie można było się położyć ani usiąść. Cella była wilgotna i ciemna. Tylko raz na dzień dawali 400 gram chleba i gorącą wodę. Więcej nic, żadnego gorącego posiłku. Tego czwartego dnia, zziębniętego i omdlałego zabrali mnie do celi. Przyszedł do mnie lekarz, ocucił i zabrali mnie na przesłuchanie. Nie było już tego Winogradowa. Zmienili mi śledczego. Ten miał podobne nazwisko, nazywał się Winokurow. Tak się przynajmniej przedstawił. Nie wiem czy były to prawdziwe nazwiska. Winokurow rozpoczął śledztwo od początku. Był spokojniejszy, nie tak agresywny. Swiecił mi lampą prosto w oczy. Zadawał mniej pytań, ale za to wyczerpywał fizycznie każąc mi siedzieć na tym krześle. Sam na jakiś czas wychodził. Podczas badania nadal obstawałem, że nie jestem obywatelem Związku Radzieckiego, że nie popełniłem tych wszystkich przestępstw. On jednak spisał wszystko i

kazał mi podpisać. Kiedy odmówiłem mężczyźni mnie tą metodą dalej przez trzy tygodnie do tego stopnia, że później podpisywałem wszystko, co mi podsuwali. Nie mogłem nawet tego przeczytać, bo słabo znałem rosyjski. Żądałem żeby pisali po polsku, bo ja nie rozumiem, ale oni nie zgadzali się. Mówili, że rozumiem bo jestem przecież obywatelem Związku Radzieckiego. W ten sposób podpisałem wszystko, wiedziałem że mój opór nic tu nie pomoże. Kiedy podpisałem powiedzieli, że sprawa będzie teraz rozpatrywana przez sąd i przed sądem będę zeznawał. Śledztwo zostało przerwane. Zawołał mnie do siebie naczelnik oddziału śledczego Sacharow. No i podpisałeś - mówi. Powiedziałem, że podpisałem dlatego, że się nade mną znęcano. Jeden mnie bił, a drugi tak oslepił lampą, że dwa razy był okulista, bo nic nie widziałem. Lekarz dawał krople, jeden dzień zwolnienia, a potem znów zaczynało się śledztwo i nasświetlanie.

Sacharow przejrzał wszystkie papiery i moja sprawa została już zakończona. Nie byłem już więcej wzywany. Przed 20 lipca zjawił się u mnie człowiek, który przedstawił się jako zaszczytnik. Nie wiedziałem kto to jest. Później dowiedziałem się, że był to adwokat, który z urzędu miał bronić mojej sprawy. Powiedziałem mu, że wszystko co jest w zeznaniach jest nieprawdą, że jestem Polakiem, że nie przechodziłem żadnej granicy, nikogo nie zabijałem na stronie rosyjskiej, nie ograбіłem nikogo. On tylko powiedział, że mogę to wszystko powiedzieć na rozprawie.

Rozprawa odbyła się 20 lipca. Przeczytali wszystkie oskarżenia. Ja przedstawiłem sprawę tak, jak to powiedziałem adwokatowi, a także, że zostałem tu przywieziony nielegalnie. Oni powiedzieli tylko, że znają takich ptaszków i że wszyscy

tutaj tak mówią. Spytali czy mam coś jeszcze do dodania. Odpowiedziałem wszystko od początku. Jako Polak wstąpiłem do polskiej organizacji podziemnej AK, żeby walczyć z Niemcami. Oni powiedzieli, że może to prawda, ale ta organizacja walczyła o granice z 1939 roku.

- A w 1939 roku na terytorium, gdzie się urodziłeś były nasze wojska? - pytają.

- Były - mówię.

- Wobec tego jesteś naszym obywatelem.

- Czy jeśli okupujecie teraz kawał Niemiec to znaczy, że Niemcy są waszymi obywatelami?

- To ciebie nie powinno obchodzić - tak mi powiedzieli. Powiedziałem, że w takiej sytuacji nie mam nic do dodania. Wyprowadzili mnie. Po naradzie odczytali wyrok. Przeczytali po rosyjsku, że dostałem karę śmierci. Na tym sprawa się zakończyła.

Wróciłem do celi, ale już nie do tej w której siedziałem w pojedynkę. Zamknęli mnie w półokrągłej celi, zapluskwionej do tego stopnia, że nie można było w nocy spać ani minuty. Była to duża cela. Siedzieli tam ludzie skazani na śmierć. Przyszli do mnie i powiedzieli, żebym pisał "żałbę", a więc po polsku skargę, odwołanie. Nie zgodziłem się na to i powiedziałem, że nic nie będę pisał. Skoro mnie skazali, to mogą rozstrzelać. Wtedy oni sami napisali, a do mnie przyszli tylko, żebym podpisał prośbę o "pomiłowanie". Nie chciałem tego podpisać, oni nalegali mówiąc, że to będzie dowód, że byłem o takiej możliwości powiadomiony. Machnąłem ręką i podpisałem. Sprawa wlokła się. Potem dołączyli do mnie jakiegoś mężczyznę o nazwisku Sawicz, Rosjanin. Mówił, że dostał 15 lat katorgi. Kim on był, nie wiem. Za kilka dni wrzu-

cili do mnie człowieka z sąsiedniej wsi, Sieczko się nazywał, Polak. Powiedział, że przywieziono go z dalekiego Tagru na przesłuchanie i że ma być świadkiem w jakiejś sprawie. Do tej celi śmierci wrzucali różnych ludzi. Była nieduża, jakieś 1,60 na 2,5 metra. Przez jakiś czas było nas trzech. Później tego Sieczkę wyprowadzili. Zabrali go, ale nie wiem dokąd. Zostałem ja i Sawicz. Stolik dyżurnego, który pilnował trzech cel w których siedzieli skazani na śmierć, był ustawiony naprzeciw drzwi. W naszych drzwiach była szczelina zrobiona na ukos. Kiedy paliło się światło, przez tę szczelinę widać było dokładnie jego twarz. Strażnik natomiast nie mógł nas widzieć. Widzieliśmy kiedy przynoszono dla nas jedzenie, obiad. Było w wiadrach bo siedziało nas tam zdaje się siedmiu, po dwóch trzech w celi. Strażnik nalewał do misek jedzenie, najpierw nalewał do swojej menażki, to samo co było dla nas. Myślałem, że on to zabiera dla świń, które hodował, ale potem okazało się, że jak już nam ponalewał to sam siadał, zdejmował czapkę i jadł. Miał około 60 lat. Było to dla mnie dziwne, że ten strażnik, który karmi ludzi skazanych na śmierć, zabiera im jedzenie i sam zjada. To było śmieszne i smutne zarazem. Pokazywało jakie u nich były warunki bytu. Może on był pijak, że sam przepijał wszystko, a potem okradał więźniów.

W drugiej połowie sierpnia przyszła odpowiedź na moja "żałbę" o ułaskawienie. Przyszedł i odczytał. Po zastosowaniu ustawy takiej to a takiej, kara śmierci zamieniona zostaje na dwadzieścia lat katorgi. Kazał mi się podpisać.

- Nie podpiszę - mówię.

- Podpisz, bo ja muszę mieć podkładkę, że ci to przeczytałem.

Podpisałem. Podkreślone tam było, że dwadzieścia lat katorgi i pięć lat pozbawienia praw obywatelskich. Widocznie wyszła taka ustawa, bo już nikt z więźniów nie czekał na karę śmierci. Ta ustawa uratowała mnie od rozstrzelania. Tam na miejscu nie wykonywano wyroków, tylko wywożono gdzieś, ale gdzie, nie wiem.

Zaczęto wyprowadzać nas na spacer. Prowadzono szerokim korytarzem do wyjścia, bo cele były w suterenie. Ze spaceru część ludzi prowadzili do innych cel. Nas było siedmiu, potem dorzucili jeszcze ośmiu. Na korytarzu przy filarach ustawione były trzy beczki z piskorzami, które były tak mocno zasolone, że grudki soli były prawie tak grube jak groch. Ryba była bardzo słona. Więźniowie z tej większej grupy wyskakowali i rękami wychwytywali tę rybę. A wiadomo, że jeśli człowiek jest głodny, naje się słonego, a potem napije wody, to najpierw puchnie, a później szybko następuje zgon. Z naszej grupy też jeden się dobrał. Nabrał tego i nawet mnie częstował. Zobaczyłem, że to bardzo słone więc nie jadłem. On natomiast zjadł wszystko. Po dwóch dniach zabrali go mocno spuchniętego i nigdy go już nie widziałem. Dziwiłem się, po co stoi ten piskorz w beczkach, tak mocno nasolony. Czy po to, żeby więźniowie szybciej się wykańczali? Przecież nie karmili nimi, a beczki były wystawione.

W końcu sierpnia zostałem przeniesiony z innymi do obszernej sali, mówili, że przygotowują się do transportu na tzw. "etap" po rosyjsku. Było nas chyba ze czterdziestu ludzi. Spaliśmy bardzo ściśnięci, jeden przy drugim, ale był taki korytarz po którym można było spacerować. Wychodziiliśmy grupowo. Stało się trochę weselej. Rozmawiałem z ludźmi. Było przyjemniej, opowiadaliśmy sobie kawały. Ja nie znałem

dobre rosyjskiego, to po polsku, ale i trochę mieszałem, bo w tym czasie nauczyłem się trochę języka. W końcu września wysłali nas na "etap", 32 ludzi. Wszyscy, którzy mieli katorgę zamiast kary śmierci. Wysłali nas do punktu przesyłkowego Orsza, 200 kilometrów od Mińska w kierunku na Moskwę. Tam trafiłem do celi, gdzie było 130 ludzi. Duża cela. Nie było to już takie twarde więzienie, były tu inne warunki. Otrzymywaliśmy 550 gram chleba i dwa razy zupę, dość dobrą, z jarzyn. Dorzucali do niej trochę krupy. W porównaniu z tym, co dostawałem w celi śmierci, albo w czasie śledztwa, to można powiedzieć, że nadawało się to do jedzenia.

Był tam taki starosta. Nazywał się Gołubcow Fiedor. Miejscowy. Zaczął ze mną rozmawiać. Poznał, że nie jestem kosjaninem, bo miałem na głowie czapkę narciarską, ubrany byłem inaczej niż wszyscy. Odnosił się do mnie łaskawie. Opowiedziałem mu o swoim przybyciu tutaj, w jaki sposób dostałem się do Związku Nadzieckiego. Powiedziałem, że chciałbym wysłać list. Obiecał mi pomóc, kazał napisać. Widział, że jestem wycieńczony, wobec tego przynosił mi od czasu do czasu miskę zupy, dodatkowo. Sam nie zjadał bo dostawał paczki.

Byli też wśród nas Polacy. Władek Boktuć, jeszcze kilku, Żydzan. I jakos było weselej. Można było pograć w szachy. Sytuacja była zupełnie inna. Napisałem list i oddałem temu staroście. Nie wiem, kto wrzucił na pocztę, on czy jakiś znajomy. W każdym razie list dotarł do mojego szwagra mieszkającego koło Grodna. Napisałem, że jestem w Orszy i że może do mnie przyjechać jeśli chce. Prosiłem, żeby zawiadomił moją żonę, Marysienkę, w Polsce, że ja żyję. Bo żona o mnie nic nie wiedziała, ja żadnej wiadomości nie wysyłałem. Miał

przyjechać mój sawagier i brat, który mieszkał w Raciczach. Przyjechali obaj ale mnie dzień wcześniej wywieźli najpierw do Moskwy, tam się zatrzymaliśmy, a z Moskwy do Wołogdy. Jechał tam też ten Gołubcow. Okazało się, że są ludzie, którzy kiedy są najedzeni i jak to się mówi zabezpieczeni mogą być nawet Rosjanami. Dopiero teraz poznawałem ludzi.

Wołogda jest 600 km od Moskwy. Były wtedy silne mrozy. Siedzieliśmy w więzieniu. W celach było ciasno. To był jakiś wielki klasztor zakonnie przerobiony na więzienie. Przesiedzieliśmy tam miesiąc czasu. Była chyba pierwsza połowa grudnia. Powtórnie wzięli nas na "etap". Odwieźli w kierunku Syftykaru, tam zbierano większy transport więźniów. Siedzieliśmy tam w zapluskwionym więzieniu. W celach było po pięćdziesięciu ludzi, a mogło się zmieścić najwyżej dwadziestu. Pluskwy wdzierały się wszędzie, nie można było spać. Trzeba było zawiązywać rękawy, ale i to nie skutkowało, gryzły niesamowicie. Naprzeciwko, do drugiej celi, przywieźli bardzo dużo Niemców. Kiedy naszą celę odpluskwiali, czyli parzyli, nas przenieśli do celi, w której byli Niemcy. Stłoczyliśmy się jeden obok drugiego. Siedzieliśmy tak, że kładliśmy nogi jeden na drugiego, żeby się pomieścić. Poznałem tam jednego Niemca, mówił że przywieźli ich 150. Dostali po 25 lat i czekają nie wiadomo na co. Byli tam różni: oficerowie, pułkownicy, podpułkownicy i cywile, sędziowie, Niemcy z Administracji. W Syftykarze przesiedzieliśmy do około 15 stycznia. Tu załadowano nas na bardzo duży transport, po 60 osób do jednego wagonu. Ja trafiłem do wagonu, w którym jedną połowę zajmowali więźniowie rosyjscy, drugą Niemcy. Rosjanie, kiedy zobaczyli, że Niemcy mają na sobie jeszcze dość dobre ubrania, zaczęli im je zabierać, oczywiście siłą. Brał w tym

również udział ten Rosjanin, Golubeow, który był w Orszy starostą. Był silny, dobrze zbudowany. Był tu jeszcze jego brat, więc obaj poszli bić Niemców, żeby zabrać im ubrania. Słyszałem jak krzyczał "Ty podlec, ty faszysta". Zdziwiło mnie, że ten sam człowiek, który mi pomagał, teraz okazał się taki podły. Potem, wieczorem, kiedy nas liczone i rozdawano jedzenie, to zdarte z Niemców ubranie dali konwejentom, którzy nas pilnowali. Tamci przynosili im za to wódki i chleba. Nawet mi zabrali ubranie i sprzedali, a w zamian dali połataną kufajkę.

Transport jechał na Workutę. Jechaliśmy przez dwa tygodnie, dojechaliśmy na 30 stycznia. ^{9,43} Byłem bardzo słaby, wycieńczony, myślałem, że skonam. Nie mieliśmy żadnej pomocy, ani lepszego jedzenia. Nie zależało mi już nawet czy będę żył. W Workucie dali trochę cieplejszego jedzenia, trochę więcej chleba. Na ten punkt przesyłkowy przyjeżdżali ludzie z kopalni i zabierali do siebie do pracy. Na zebraniu odczytali, że podzielono nas na dwie grupy, część przydzielili na kopalnię 17, a część na 13. Z Niemców zdjęto mundury i ubrania cywilne i dali im takie więzienne kufaje, duże "buszłaty", jak oni to nazywali, a na nogi drewniaki. Na plecach napisali im farbą "niemiecko-faszystowski złodziej". Tych 150 ludzi wyprowadzili w śnieżną zanieć do wypalania wapna, do kamieniołomów i część do cegielni. Nas natomiast za kilka dni wywieźli z tego punktu przesyłkowego odkrytymi platformami do kopalni. Moja grupa trafiła do kopalni 13. Był początek lutego, drugi luty. Druga grupa pojechała do 17. W kopalni była komisja lekarska. Na tej komisji dostałem grupę - niezdolny do pracy, ale mimo to ułokowano mnie do sprzątania baraków. O ósmej wieczorem był zawaze apel. Po

PEWA 3
str. 6
(płk. 2)
do 5 min

apelu zamykali baraki i już nie wolno było ich opuszczać.

Smier

Czułem się bardzo źle, byłem niezdolny do niczego. Był tam jeden Białorusin, który mówił po polsku. Pracował w nadzorze administracyjnym, pilnował żeby była utrzymana higiena w barakach. Miałem jeszcze cywilny sweter i buty. Oddałem mu to. Obiecał, że ulokuje mnie w jakimś lepszym baraku. Za jakieś trzy tygodnie zaprowadzili mnie do baraku w którym mieszkała obsługa łagru, a więc kucharze, ci którzy kroili chleb tzw. "chleborezy", byli "rozdatcziki", czyli rozdający posiłki. Do kuchni trzeba było chodzić z baraku jakieś trzysta metrów, ale ci co ze mną mieszkali, z obsługi, dawali mi czasem trochę chleba, kiedy im coś zostawało. Widzieli, że jestem osłabiony. Ważyłem zaledwie 48 kg przy mojej przeciętnej wadze 65-70 kg. Ludzie mówili do mnie, ale ja jakos słabo słyszałem. Patrzyłem, ale nie rozpoznawałem ludzi. Człowiek jadł i nie wiedział, ile może zjeść. Jadłem trochę zupy, tego krupniku i poczułem się trochę lepiej. Po dwóch miesiącach zacząłem wracać do sił. Pełniłem funkcję nocnego dyżurnego przy suszeniu ubrań. Tam byli i górnicy. W tym baraku poznałem Muszyńskiego, Polaka z Wilna. Poznałem Ciska, Wiktora. Wiktor był gdzieś ze Lwowa, Cisek z Krakowskiego.

Byłem w tym baraku do drugiej komisji. Komisje były co jakiś czas i kiedy człowiek był trochę zdrowszy, silniejszy, dawali np. kategorię S i musiał pracować w kopalni. Miałem wtedy 30 lat, byłem jeszcze młody. Dali mi kategorię S i już w sierpniu zostałem przydzielony do brygady, do pracy w kopalni. Praca była ciężka, wyczerpująca. Druga zmiana musiała być na wartowni zaraz po obiedzie, o drugiej godzinie. Na wartowni wyczytywano po kolei brygadami. Każdy musiał odpo-

wiadać podając swój numer "katorżański". Ja miałem 2 Ł 146. Numer był napisany na łatach, które przypięte były na plecach, na lewej nogawce spodni i na czapce. Ci, którzy nie mieli katorgi nosili na rękawach i na plecach. Nie nosili numeru na czapkach, taka była różnica. | Wychodziłem z wartowni do pracy w kopalni. | ^{13,30} Była to duża, głęboka kopalnia, jeszcze rozbudowywana, chodniki, korytarze nie były umocnione. To wszystko wisiało. Spadało na głowy, kiedy ludzie szli do pracy, kasków nie mieli. | ^{14,00} Pracowali w ciężkich wyrobiskach. Powietrze było zagalazowane mimo że pracowały wentylatory. Nie można było ani na chwilę odpocząć, odsapnąć, bo zaraz gonili do pracy. Zresztą więźniowie sami dla siebie byli niedobrzy. Ukraińcy zyskiwali coś dla siebie, Litwini dla siebie. Polaków było mniej. Ja trafiłem do brygady, gdzie nie było Polaków, więc wyzyskiwali mnie. Kiedy poszedłem pierwszy raz do kopalni Ukrainiec zaprowadził mnie do jakiejś dziury. Zaraz po odpaleniu zawaliło mnie, trudno było wyjść. Nasza brygada przebijająca korytarze. Potem przenieśli mnie do pracy w transporcie, gdzie trzeba było odpychać wagonetki. Była to ciężka praca, bo torowiska w kopalni nie były dobrze ułożone, skrzyśone. Nic tam nie było dokładnie zrobione. Raz pracowałem przy transporterze, przy wydobywaniu tej skały i przy korytarzu. Jechała brygada z betoniarką. Nie mogli przejechać więc trzeba było wybić podpory, które nie wytrzymały i jakieś 50 ton węgla runęło na korytarz. Szczęście, że ludzie się odsunęli. Wszystko zważyło się na tę betoniarkę. Ja stałem po jednej stronie wagonetki, po drugiej zsypało się jakieś trzy tony węgla. Gdybym stał po tamtej stronie, byłoby mnie zabiło. Po jakimś czasie wydrapaliśmy się z tej 13 kopalni do góry.

Na przełomie 1948 i 1949 roku zachorowałem za żółtaczkę zakaźną. ^{17,25} Leżałem w szpitalu łagrowym. To był normalny barak, niby izba chorych. Byłem wyczerpany. Naczelnikiem tej izby chorych była jakaś kobieta, nie była lekarką. Leczył mnie też katorżnik, Gruzin. Nazywał się Mawaradze. Lubił mnie, wiedział że jestem Polakiem, wobec tego doglądał mnie. Lekarstw specjalnie nie było ale on jakos mnie ratował. Dosedłem już do takiego stanu, że się nie ruszałem. Naczelnik kazała mnie wyrzucić do trupiarni. Kiedy rano Mawaradze dowiedział się gdzie mnie wyrzucono przyszedł obejrzeć mnie. Żyłem jeszcze. Kazał mnie obłożyć gorącymi cegłami żeby mnie ratować. Byłem nieprzytomny całą dobę, ale odzyskałem przytomność i zacząłem się ruszać. ^{18,21} Temu lekarzowi zawdzięczam uratowanie życia. Mówił, że muszę brać witaminy, cukier zamiast brakującej atropiny. Jednemu Białorusinowi, który był magazynierem oddałem sweter i za to miałem dostać cukier. Napisał kartkę, żeby mi wydano dwa kilo cukru, bo cukru wydawali po 900 gram, tym co pracowali w kopalni, na miesiąc. Tym cykrem wzmocniłem organizm. Po opuszczeniu izby chorych wysłano mnie znów do kopalni. W 1949 roku pracowałem w transporcie. Tam życie zależało od tego, jak się pracowało. Jeżeli nie wypracowało się normy to dostawało się pierwszy kocioł czyli 750 gram chleba, rano zupa i kawałek ryby, na obiad zupa i kasza 200 gram, to wszystko na cały dzień. Jeśli drugi kocioł to 350 gram chleba rano, zupa, kasza, kawałek ryby. Na obiad zupa i 300 gram kaszy polanej oliwą. Na trzeci kocioł było już 1,5 kg chleba i 300 gram kaszy, większy kawałek ryby. Na obiad mięsny kotlet o wadze 30 gram i 400 gram kaszy. Ale zapracować na trzeci kocioł było prawie niemożliwe, bo po dwóch tygodniach czło-

wiek znów zapadał na zdrowiu, bo to wszystko było bez tłuszczu, a jeżeli już, to trafiała się oliwa z bawełny, czarna, podobna do dziegciu, tak że wcale nie chciało się jeść. Było ciężko. Poznałem jednego Polaka, nie pamiętam nazwiska. On chciał jeszcze po pracy dorabiać w kuchni. Można było czyścić rybę albo sprzątać, zamiatać. Mógł wtedy człowiek najść się zupy do syta albo nawet i kaszy, a przy czyszczeniu ryby, to i ryby. Zapoznałem się z jednym kucharzem, który zajmował się czyszczeniem. W łagrze było ponad trzy tysiące ludzi, wobec tego jedzenia było dużo. Z tym kucharzem czyściłem ryby. Szedłem tam po wyjściu z kopalni. Na 16 trzeba było dojść do pracy ale przedtem jeszcze pobrać akumulator, ciężki, butelkowy, przynieść drzewa, kopalniaków, surowego oślizgłego od lodu. Przenieść na wózek i to opuścić do kopalni. Potem samemu schodziło się na dół. ^{24,45} Kopalnia osiemnasta więc zjeżdżaliśmy szybem, trzysta metrów głębokości. ^{24,52} Praca trwała do godziny 12, a czasem nawet się przedłużało. Zanim wyszliśmy na zewnątrz, przeszli wartownię była już pierwsza w nocy albo nawet w pół do drugiej. Można powiedzieć, że pracą byliśmy zajęci dwanaście godzin. Przychodził człowiek z kopalni mokry, przemarznięty. W barakach było zimno. Człowiek kładł się na podłogę bo pomieszczenia były przeładowane. Wielu ludzi umierało. Dwóch, trzech w ciągu jednej nocy. ^{25,55}

Jeżeli ludzie wykonywali normę w kopalni, która wynosiła przypuścimy na jednego w brygadzie tonę węgla i dostawali po 1050 gramów chleba i naturalnie więcej kaszy i jeszcze mięso, pracowali tak miesiąc, dwa lub trzy trzymając się trzeciego kotła, podwyższano normę aby ludzi szybciej wykończyć. Ponieważ miałem możliwość w kuchni najść

się do syta, praca w kopalni i wykonana norma były mi obojętne i nie interesowało mnie jaki kocioł będzie mi przysługiwał.

W końcu sierpnia 1948 roku był bunt więźniów. Jakiś łagier rozbroił straż i ludzie nacierali w kierunku kopalni osiemnastej aby i tu wyzwolić kilka łagrów, a być może cały obszar Worskuty. To był 12-tysięczny łagier oddalony o 20 km od kopalni osiemnastej. Była bardzo jasna noc więc w tundrze nie mogli się ukryć. Szturmowe oddziały prowadziły walkę z nimi z kukuryżników. Na wartowni w naszej kopalni wyrzucili sześć trupów i zapowiedzieli, że taki los spotka każdego, który będzie próbował wyzwolić się. To miało nas przestraszyć.

W czerwcu 1949 chodziły słuchy, że będą nas segregować. Z większymi wyrokami tzw. "kontrygi" pójdą do reszłagrów. Zabierali nas z kopalni osiemnastej. Trafiliśmy z wieloma innymi do kopalni 9-10. W tym łagrze były niskie stare baraki, takie same jak na 13. Tu specjalnie nas przycisnęli. Baraki okratowane, zamykane o godzinie ósmej, a nawet o szóstej. Przeładowane, powinno być osiemdziesięciu ludzi, a nas było stu. Praca w kopalni bardzo ciężka, ale i tu poznałem się z kucharzami i zacząłem chodzić do kuchni pomagać, a ponieważ pracowałem sumiennie to lubili mnie i chętnie przyjmowali do pracy. W tych reszłagrach wyżywienie i warunki były gorsze.

Przetrwałem tu do 1952 roku. W 1952 chory i wyczerpany dostałem się do izby chorych. Był tam lekarz z pochodzenia Polak. Nazywał się Kozielski. Jego ojca powstańca z 1863 roku wywieźli, i on tam został. Miał około 60 lat. Napisał mi, że jestem niezdolny do pracy w kopalni. Zbadali mi wzrok i okazało się, że jest w 50% osłabiony. Dzięki temu lekarzowi udało mi się wydostać na powierzchnię. Chodziliśmy pracować do

miasta. Budowaliśmy pocztę, wielką restaurację, a potem trafikem na budowę wielkiej chłodni w Workucie. Z kopalni 9-10 przenieśli nas tam 300 ludzi. To było w 1953 roku.

5 marca 1953 zmarł Stalin. Ogłoszono wielką żałobę. Usłyszeliśmy w radiu, że więźniowie będą zwolnieni, wielka amnestia. Faktycznie. Widzieliśmy, że z łagrów, gdzie siedzieli więźniowie kryminalni /obóz był oddalony o jakieś dwa kilometry od chłodni, wychodzili więźniowie. Szli po dwudziestu, trzydziestu w grupach i mogli odjeżdżać. Ale zaraz w Workucie poupijali się i zaczęli wszczynać między sobą burdy. Bili się. Świata powiedzieli, że amnestia dla więźniów w Związku Radzieckim dla wszystkich. Wypuścili bandytów, a u nas nie było zwolnionych. Pracowaliśmy dalej. Ale w sierpniu 1953 powstała rewolta. Strajki okupacyjne kopalni. Największy na kopalni 52. Ona stawiała największy opór. Nikt ze strażników nie mógł wchodzić do łagru. Strajkujący byli uzbrojeni w kije, szpadle, kilofy. Niektórzy chcieli już iść do pracy, bo dali się zastraszyć, ale ci, którzy się nie przestraszyli poszli na wartownię. Padły strzały ze strony oddziałów szturmowych którymi obstawiony był łagier dookoła. 170 osób zabitych, 250 rannych. Ponieważ w tym czasie zastrajkowała inna jeszcze kopalnia i Workuta przez kilka dni nie dawała węgla, władze centralne zainteresowały się, co to się stało. Na 52 kopalnię przyjechała komisja z Rady Najwyższej Związku Radzieckiego. Pytali dlaczego prowadzą strajki. Na 52 największą rolę odegrał Polak Kośuchowski. On przedstawiał fakty. Powiedział, że strzelają do więźniów których prowadzą do pracy, o ciężkich warunkach w kopalni, o tych dwunastu godzinach pracy, jak kiepsko nas karmią, że ogłoszono kult jednostki Stalina, że ~~Stalin~~ ^{Stalin} jest wrogiem, że my tu siedzimy

tylko przez Stalina, że tyle lat po wojnie i czas najwyższy zwolnić nas. Po tych strajkach powiedzieli, że będziemy mieli zdjęte numery z czapek i pleców. Pozwolono pisać listy. Powiedzieli, że będą płacić pieniądze za pracę. No i faktycznie. W listopadzie wypłacali po 30 rubli do rąk. Jeśli ktoś zarobił więcej przelewali to na konto osobiste. Można było za to kupić to, co dla więźnia było najpotrzebniejsze. Można było w stołówce konercyjnej kupić 500 gram kaszy owsianej za jednego rubla. Wyżywienie na powierzchni wynosiło 850 gram chleba, rano zupa i kawałek rybki, obiad zupa, 250 gram kaszy, kotlet 30 gram, w którym było więcej chleba niż mięsa. Przy ciężkiej pracy wyżywienie to nie wystarczało, ale można już było otrzymywać paczki i wielu je dostawało. Ja też otrzymałem paczkę, a kiedy zaczęli dawać pieniądze i mógł sobie człowiek dokupić 500 gram kaszy dziennie, to już był najedzony. Ale było to dopiero pod koniec 1953 roku.

W grudniu 1953 roku kończyliśmy już prace na chłodni. Wybudowaliśmy chłodnię, blok przemysłowy, blok mieszkalny, inne magazyny. W początkach stycznia 1954 dostałem kategorię "S" i wysłany zostałem do kopalni numer 30. Kilkanaście kilometrów od tej chłodni. Pojechało nas tam sporo ludzi w tym również wielu Polaków. Kiedy byłem już tam przydzielony do baraku i brygady nie wywołano mnie do pracy. Myślałem, że może zapomnieli, więc wróciłem nikomu nic nie mówiąc i czekałem do wieczora. O siedemnastej przyszedł do mnie Józefowicz. Spytał czy nazywam się Burzyński. Rozmawialiśmy po rosyjsku. Ja jestem Józefowicz - mówi - masz kategorię 2a, do pracy nie będziesz chodził. Zdziwiłem się dlaczego. Ja pracuję w KBCze i mogłem to załatwić. Jeszcze spytał o nazwiska Polaków. No i przekwalifikowali mnie na kategorię 2b. Ta kategoria mogła

nie nie robić, nie wychodzić, jeśli chciał mógł pełnić jakies funkcje. Nie będę pracował nie będę płacić pieniędzy, ale postanowiłem odpocząć. Zima była ostra. Miałem zapasu około 150 rubli. Do wiesny mogło mi wystarczyć. Poznałem kilku Polaków, Ignatowicza, Rupiejka, lekarza Trzecińskiego na kopalni 30, Stanisława Starzewskiego i wielu innych. Ale to było nudno nie nie robić. Zebrałem więc paru ludzi i poszliśmy przebierać ziemniaki. Potem utworzyli taką brygadę do przebierania ziemniaków, cebuli. Człowiek mógł sobie upiec tych ziemniaków albo ugotować, a więc niezbyt się martwiłem tym, że dostaję słaby kocioł. Za tę pracę nie płacono nam. Ale już w marcu przydzielili mnie do brygady 1B, bo była nowa kwalifikacja. Zaczęli wyprowadzać nas w tundrę. Tam kopaliśmy transeje, rowy do przeprowadzania kanalizacji wodnej. To była wieczna zmarzlina. W marcu słońce świeci już więcej niż pół dnia. Kiedyś podczas zamieci śnieg zasypał czterech ludzi. Konwój nas zatrzymał ze trzy godziny zanim przyszła pomoc i zaczęto szukać. Znaleźli ich całkiem zasypanych. Żyli. Oni się skryli w górze śniegu. Kiedy była później ostrzejsza zamieć i mróz minus 35^o, to nas nie wyprowadzali.

W końcu maja 1954 roku pracowałem jakiś czas w tundrze, potem dowiedzieli się, że jestem murarzem-tynkarzem, bo na chłodni przeszedłem takie przeszkolenie, przydzielili mnie do brygady budowlanej. Budowaliśmy kopalnię numer 30 i wszystkie bloki, które tam są. Poznałem wielu Polaków, którzy chodzili do kopalni 30.

Po roku 1953 faktycznie zaczęli zwalniać. Zwolnili wielu współpracowników niemieckich. Natomiast, jak oni nazywali kontrrewolucjonistów, ewentualnie narodowców czyli organi-

zacji społecznych, narodowych jak polskie AK czy ukraińska UPA, czy też litewskie, łotewskie, to tych ludzi nie zwalniali. W kwietniu 1954 roku zabierali wszystkich Niemców i odsyłali na punkt zborny. Spotkałem nawet tych, którzy w 1948 przyjechali ze mną. Wszystkich odsyłali do domów. W końcu 1954 roku zwalniano już z łagrów współpracowników niemieckich, sołtysów, policjantów a nas trzymano dalej.

Nadszedł rok 1955. Przeprowadzili mnie do łagru kopalni numer 19. Tam mieszkali pospolici więźniowie. Baraki były zniszczone. Trzeba było wszystko remontować. Trafiliem tam, bo miałem długi wyrok. Dwadzieścia lat katorgi, nie przewidywałem więc żadnego zwolnienia. W łagrze kopalni 30 pracowałem do czerwca 1955. Spotkał mnie wtedy jeden z oficerów i przedstawił się jako Dojew. Był on oficerem zaopatrzeniowym. Spytał mnie czy znam Rajkowskiego. Znałem go. Młody chłop, pochodził gdzieś ze Stanisławowa. Oficer powiedział, że rekomendował mnie jemu właśnie Rajkowski, który mieszka już za zoną i pracuje w sklepie. Dojew zaproponował mi, że bym pracował u niego jako kierownik jadłodajni łagrowej. Nie wiedziałem, czy temu podołam, ale on zapewnił, że praca nie jest trudna i mogę zacząć od jutra. Przyjąłem tę pracę.

W sierpniu obchodzą w Rosji dzień górnika. Wtedy nam już płacili. Górnikom po 300, 400 rubli, na powierzchni zarabiałem nawięcej 150 rubli. Zaczęli się liczyć z więźniami politycznymi w inny sposób, zaczęli doceniać, ponieważ więźniowie kryminalni mało pracowali a bałaganu robili wiele. Kiedy do pracy przyszli inni więźniowie, zaczęto im mniej płacić. W 1955 roku zorganizowali więc strajk okupacyjny. Otoczyli ich żołnierze z psami, pałkami. Traktorem przerwali druty i przy pomocy pałek i psów zlikwidowano strajk. Prowodyrów

załadowano na samochody i wywieziono na kopalnię 40, jako do karnego łagru. Natomiast ludziom powiedzieli, że w 1955 roku będą pisać charakterystyki, a w 1956 wzywać do sądu na przesądzenie, kto ma długie wyroki, a kto odbył już 2/3 wyroku, będą wyprowadzać za zonę. Faktycznie jesienią 1955 roku pisali charakterystyki. Aby zachęcić do pracy obiecywali, że będą dni "zaczotne", można nawet zarobić w kopalni jeden dzień, a liczyć będą za trzy, czyli jeden rok pobytu w łagrze będzie liczony za trzy lata. Jesienią 1955 roku zaczęto już zwalniać. Spośród moich ludzi pracujących na kuchni zwolniono kilku Ukraińców.

W 1955 roku ja nie miałem żadnych podstaw do zwolnienia. Na duchu podtrzymywało mnie tylko to, że otrzymywałem listy od żony. Przysyłała mi też zdjęcia. Była zrozpaczona. Ja również pisałem do niej. Muszę jeszcze wrócić do pobytu na chłodni. Napisałem tam sporo wierszy, ukrywałem je w sieniaku. W 1953 roku podczas rewizji znaleziono je i zagrożono mi powtórny sądzeniem. ponieważ za dużo pisałem o tych co się nad nami znęcali. Potem uspokoiło się. Powiedziałem, że już nie będę pisał i że to nie były moje wiersze, tylko je sobie przypomniałem.

W dzień górnika zabijali świnie, którą hodowali w łagrze. Mój bezpośredni przełożony kapitan Dojew, oficer zaopatrzeniowy sam najadał się do syta a potem żądał żebym przyniósł mu coś mocniejszego. Miałem przepustkę, więc mogłem wychodzić, i chociaż mówili mi, że nie wolno nic przynosić musiałem wykonywać jego polecenia. Na żywieniu było 2500 osób. Świnie, które zabijano na święto górnika miały być dzielone w ten sposób, że po 100 gram wieprzowiny jednego dnia i 100 gram na drugi dzień. Ale Dojew kazał mi dać pierwszego dnia

po 100 gram a na drugi dzień rybę. Te 250 kilogramów wieprzowiny pozostało w magazynie. Byłem zaskoczony, że oficer zaopatrzeniowy takie rzeczy mówi mnie, więźniowi. Sprawa ta niegodna była ani oficera, ani nadzoru, ani człowieka. Odebrać więźniom, żeby później sprzedać i popić za to? Na Rewolucję Październikową doszło do takiej samej zamiany. Zamiast wieprzowiny, śledzie. A ponieważ więźniowie ryby nie jedli były duże oszczędności. Od kiedy ludzie zaczęli za pracę dostawać pieniądze problem głodu był właściwie rozwiązany. Był więc kocioł gwarancyjny, a do tego można było sobie coś dokupić. 60% wynagrodzenia zabierało Ministerstwo Spraw wewnętrznych i tak jeżeli więzień zarobił 1000 rubli po rozliczeniu warunków socjalnych i żywienia nie dostawał nic, lub niewiele. Jeśli zarobił 1200-1300 otrzymywał więcej pieniędzy dla siebie. Można było dostać je do ręki albo przełać na konto osobiste. Każdy mógł je mieć.

Nadszedł rok 1956. Pracowałem w jadłodajni. Zrobiłem nawet wentylator i kucharze byli bardzo zadowoleni. Do łagrów przysyłali przestępców pospolitych, oczywiście tych z niewielkimi wyrokami. Z wyrokiem do siedmiu lat tzw. batawików albo kryminalnych przysyłano około 700. Natomiast więźniów politycznych pod koniec roku 1955 było nie więcej niż 1800 osób. Kryminalni wprowadzili do łagru zamieszanie i chaos. Zabierali z kuchni talerze, takie miski aluminiowe i robili z tego papierośnice, zabawki, pudełeczka. A w kuchni krzyk, bo nie ma na czym dać jeść. Powiedziałem szefowi, że nie będę dalej pracował, ponieważ kryminalni, strasząc finkami żądali abym ich karmił. Jednego razu zatrzymali mnie błotnyje i mówią, będziesz nas karmił. Mieli przysyłać swoich pomocników, którym miałem dawać kotlety, lepsze jeszenie, dobrze zalewać

oliwą. Przyszedł do mnie taki Jaszka, kucharz, którego ja werbowałem na jadalnię i pyta: Co oni tak z tobą rozmawiają? Mówię mu, że będą przysyłali swoich pomocników po jedzenie. Pyta więc: To wam trzeba dawać jeść? A chłop był tęgi. Jak machnie jednego w głowę, drugiemu kopniaka. Złapał za kołnierz i mówi: Przyjdźcie do mnie, kierownik nie wie co komu dawać, ja już raz wam dałem.

Do wiosny ilość więźniów politycznych jeszcze się zmniejszyła. Ja z długim wyrokiem ciągle zostawałem. W 1956 roku większość była więźniów kryminalnych. W maju postanowiłem rozliczyć się ze stołówką. Musiałem zapłacić, zdać trochę tych misek jako szmelc. Każdy talerz kosztował 3 ruble więc kiedy się zwalniałem a brakowało mi 1000 sztuk, musiałbym zapłacić 3000 rubli. Kto to mógłby zapłacić? Pojechałem więc do bazy, "dałem w łapę", trzysta rubli i pobrałem tyle talerzy, ile mi brakowało. W maju zdałem kuchnię i poszedłem pracować za jednego Ukraińca o nazwisku Pastuch do kuchni komercyjnej, tzn. tam gdzie można było kupować za pieniądze. Objąłem po nim funkcję kierownika. Jeździłem tylko po prowiant na bazę a po całodziennym utargu musiałem rozliczyć się z bufetowym, pobrać żetony, rozliczyć ilość sprzedanego jedzenia a pieniądze odnieść za łagier do jadalni wolnej, która nie podlegała łagrowi. I tak codziennie. Ale i tu zaczęli dobierać się kryminalni. Przepracowałem tu tylko siedem miesięcy. Z mojej pracy niezadowolony był naczelnik łagru, jego zastępca i jeden oficer, a niezadowoleni byli ponieważ za mojego poprzednika oficerowie przychodzili, zamawiali co chcieli u kelnera i nie płacili. Ja zmieniałem wydającego, zmieniałem kelnera i już im nie nosili za darmo. Więc byli niezadowoleni i zaczęli mówić o zwolnieniu mnie i że poszu-

kaniu innego na moje miejsce.

12 sierpnia 1956 roku zostałem wezwany na przesądzenie. Było nas chyba 500. Grupami, po 22 dwudziestu, zaprowadzili nas na kopalnię numer 40 i tam wywoływali. Przesądzało 3 ludzi. Odczytywali akt oskarżenia, człowiek mówił, co tam jest niewłaściwe i wielu ludziom zmniejszyli wyroki. Kiedy na mojej rozprawie odczytali akt oskarżenia, powiedziałem, że w ogóle wszystko to jest nieprawdą. Opowiedziałem swoją historię, jak dostałem się do Rosji. Powiedziałem, że jestem obywatelem polskim i nie zgadzam się z tym, co napisali. W tym czasie to było ważne, bo już żona moja przyjechała do ZSRR w odwiedziny, do rodziny. Była nawet w Moskwie w mojej sprawie. Z Warszawy wzięła takie zaświadczenie, że jestem Polakiem, że jestem urodzony w Polsce, że tu mieszkam, mam rodzinę żonę i dziecko. Przysłała to ale nie na mój adres tylko na Staszewskiego, na kopalnię numer 30. On mieszkał jako wolny człowiek, Polak. Podałem jego adres i za jego pośrednictwem dostałem to do ręki. Na rozprawie przejrżeli dokumenty i powiedzieli, że rezultat odczytają w łazrze. Po dwóch tygodniach dowiedziałem się, że zmniejszono mi z 20 lat na 12 lat katorgi. Zmniejszyli więc wyrok o 8 lat. Był rok 1956, pozostawało mi jeszcze 2,5 roku. Byłem zadowolony. Wróciłem do jadłodajni. Oficerowie, kiedy mnie tam zobaczyli byli niezadowoleni. Kierownik stołówki u którego się rozliczałem zaproponował mi miejsce bufetowego. Przeprowadziliśmy remanent zdawczo-odbiorczy. Przekazałem kuchnię temu, którego wybrał naczelnik łagru. Manka było 170 rubli. Dopłaciłem 70 rubli po trzech miesiącach. Jako bufetowy sprzedawałem produkty żywnościowe, jakieś herbatniki, czasem trafiała się kiełbasa. Potem wieczorem rozliczałem

się z kierownikiem komercyjnej kuchni. On tak jak ja wcześniej, odbierał pieniądze i miał odnosić do kasy. Ktoś widział go, że pije, lata za dziewczynami na przepustce. Wobec tego przyszedli na kontrolę w grudniu. Zdałem mu tę kuchnię na początku października, a w grudniu kontrola wykryła 11 tysięcy rubli manka. Było wielkie zaskoczenie. U mnie też zrobili kontrolę i okazało się, że ma 170 rubli więcej - superaty. To też nie było dobrze. Aresztowali jego i mnie. Z powodu 11 tysięcy manka mieli likwidować storówkę. Naczelnik Awdiuchin oskarżył mnie, że podrabiałem dokumenty, ja zaś widziałem, jak oni przychodzili a ten nowy kierownik dawał mi jedzenie, przychodziła nawet żona Awdiuchina i dostawała do koszyka różne artykuły: ogórki, pomidory w listopadzie, dawał jej też mięso. Z powodu tego manka zamknęli jego i mnie do izolatki. Naczelnik powiedział, że to ja podrabiałem podpisy i narobiłem manka, że to ja oszukałem tamtego kierownika. Nie była to prawda ale trzymali mnie samego jednego w wielkiej celi. Mrozy były silne. Nie palili. Zacząłem się upominać, żeby palili. Przynieśli mi materac. Za kilka dni zawołali. Przyjechał jakiś pełnomocnik z Workutłaga, czyli do zbadania mojej sprawy. Zebrałi się wszyscy oficerowie z administracji łagru. Zarzucono mi, że ja podrabiałem podpisy i narobiłem manka, bo jestem starym wygą, doświadczonym, a to jest młody kierownik bez doświadczenia. I to jest moja wina. Odpowiedziałem oficerowi i naczelnikowi, że nie ma podstaw oskarżania mnie, bo można sprawdzić podpisy, oddać do ekspertyzy, a ona wykaże, czy któryś z moich dokumentów był podrobiony. Major Sapożnikow przyprowadził mnie do kółtowni i powiedział, że powinienem kopać fundamenty. Tylko tam się nadaje. Nie masz żadnej smykałki łagrowej - powie-

dział. Nie wiedziałem wtedy o co mu chodzi, dopiero później zorientowałem się, że trzeba było jego karmić. Jak Sapożnikow to usłyszał, przestraszył się a pełnomocnik kazał wszystkim wyjść. Zostawił tylko mnie. Kazał mi opowiadać. Zacząłem opowiadać jak żona naczelnika łagru przychodziła i pobierała artykuły żywnościowe z kuchni, kierownik dawał. Jak oficerowie przychodzili i nie płacili. Zanotowałem wszystko i odprowadzili mnie z powrotem do izolatki. Siedziałem tam dalej. Koniec grudnia, ostra zima, dokucza zimno i szczury. Naprzeciwko mojej celi posadzili tego właśnie kierownika, grał sobie na gitarze. Halo, tu mówi Burzyński, słyszysz mnie? Słyszę, mówi. Ja się do niczego nie przyznałem to i ty nic nie gadaj. Nie mam nic do gadania, mam tylko prawdę do powiedzenia. W końcu przestaliśmy rozmawiać. Dojew był w tym czasie na urlopie, przyjechał ten co mnie znał bliżej i był pełnomocnikiem do spraw łagrowych, Majew. Był on z Dojewem w dobrej komitywie, miał Polkę za żonę. Wezwał mnie do siebie i mówi: Rozpatrzyłem waszą sprawę. Będziecie za kilka dni zwolnieni z izolatki, otrzymacie wszystkie swoje rzeczy. Po aresztowaniu zabrali wszystkie moje rzeczy a w tym dwa aparaty fotograficzne, zegarek. Na moim koncie było 1500 rubli. Były to pieniądze zaoszczędzone z pracy w kopalni, na powierzchni, w kuchni, jadłodajni łagrowej. Za trzy dni wyprowadzili mnie z izolatki.

Politycznych więźniów już nie było, tylko pospolici. Wyprowadzili ich do takiego ulgowego baraku, mieścił się on za zoną. Ja zostałem w łagrze z tymi pospolitymi więźniami. Nie wyprowadzili mnie. Miałem jednak wcześniej, po rozprawie sądowej napisane skargi, że mnie niesłusznie osądzili i trzymają w łagrach. Napisałem do Ministerstwa Spraw wewnętrznych,

do Rady Najwyższej ZSRR, do Generalnej Prokuratury. W styczniu otrzymałem odpowiedź z MSW, że skarga została rozpatrzona i obywatelstwo polskie będzie mi przywrócone po odbyciu kary. Pojawiła się nadzieja, że wrócę do Polski. Czekałem na inne odpowiedzi. Pracowałem. Spotkałem się tam z Gruzinami, którzy po śmierci Stalina nie mogli pogodzić się z tym, że odebrano im przywileje. Wystąpili więc zbrojnie przeciw władzy sowieckiej. Udział w powstaniu wzięło około 30 tysięcy ludzi, chcieli przejść do Iranu, ale wojska sowieckie ich otoczyły i wzięły do niewoli. Przywieźli ich na Workutę. Wyglądali mizernie, szczególnie mocno we znaki dawał się im ostry klimat. Potem przeniesiono mnie do brygady budowlanej. Byli tam sami złodzieje i ci, którzy nie chcieli pracować. Na budowie obsługiwałem kran - podnośnik towarów, materiałów. Gdy skaleczyłem sobie mocno rękę byłem zwolniony od pracy. Naczelnik łagru nie mogąc pogodzić się z tym, że nie siedzę w karczerze wysłał czterech ludzi do "reżymnego" łagru na kopalni 40, do tej grupy włączył i mnie, i tego kierownika, co zrobił manko. Na wartowni tej kopalni tamtych przyjęli a mnie po przejrzeniu mojej teczki odesłano do łagru. Siedziałem w baraku. Po trzech dniach naczelnik znów wysłał mnie do "reżymnego" łagru. I znów mnie tamten naczelnik nie przyjął. Wytworzyła się dla mnie dobra sytuacja. Nie wiem z jakiego powodu. Przypuszczam, że włączył się tu Dojew, a raczej kierownik biura personalnego z powodu pożyczek raz 300 rubli, drugi raz 200 rubli, których mi nigdy nie oddał a ja się nie upominałem. I choć za trzecim razem odmówiłem, pamiętał widocznie te poprzednie i za każdym razem wycofywał dokumenty, które mnie oskarżały. Kiedy mnie wywozili, zaraz wracałem. Po kilku dniach zostałem wyprowa-

dzony do baraku mieszczącego się poza łagrem, z którego chodziłem do pracy w kopalni numer 28 już bez konwoju.

20 kwietnia przyszedł goniec w czasie przerwy obiadowej i wywołał mnie do kierownika biura personalnego. Wcześniej, na początku marca, otrzymałem wiadomość z Rady Najwyższej ZSRR, że skarga moja została rozpatrzona i skierowana do Sądu Najwyższego. Choć była to dobra wiadomość, nie było to jeszcze zwolnienie. I tego dnia powiedzieli mi, że jestem zwolniony z łagru. Byłem zaskoczony i nie wierzyłem ponieważ miałem jeszcze dwa lata, w marcu minęło mi 10 lat. Kierownik biura personalnego powiedział mi, że zaliczono mi "zaciotne dni". Pytam : Ile? Dwa lata. Nawet nie wiedziałem, że tyle tego jest. Wydał mi kartę obiegową, żebym mógł wszystko załatwić. Popodpisywałem wszystko w tej karcie. Na koncie miałem te 1500 rubli. Zebrałem wszystkie rzeczy, rozliczyłem się, przyniosłem kartę obiegową i już 24 kwietnia 1957 roku pobrałem bilet na Worskucie i pojechałem w kierunku Grodna. Tam mieszkała teściowa i rodzina żony.

Kiedy otrzymałem pismo z MSW, że moja skarga rozpatrzona i po odbyciu kary będę mógł wyjechać do Polski, już wtedy wiedziałem, że MSW ZSRR zwraca obywatelstwo. Nie napisali tego, ale już rozpoczęły się masowe repatriacje po podpisaniu umowy Gomółki ze Związkiem Radzieckim. I na tej podstawie dostałem to zawiadomienie od MSW. O tych 5 latach pozbawienia praw obywatelskich nie wspominali, chociaż o tym napisałem w swojej skardze. Nie było już żadnych problemów. Miałem kartę zwolnienia. Na karcie wymienione były paragrafy, bo byłem sądzony z paragrafu 58 i jeszcze dodatkowo 70-72, po przesądzeniu napisali mi paragraf białoruski 63 punkt 1 i dodatki: zabójstw itp., paragraf 70,71,72 z białoruskiego

prawa karnego. Zostałem zwolniony na podstawie, że odbyłem wyrok 12 lat z zaliczeniem "dni zaciotnych" /nadliczbowych/.

Kiedy 24 kwietnia 1957 roku wyruszyłem, od razu miałem zamiar wstąpić do ambasady polskiej w Moskwie. Tak też zrobiłem. Przyjechałem 28 kwietnia o godz. 11 do Moskwy. Pojechałem od razu taksówką do ambasady polskiej. Wjechałem i przedstawiłem sprawę. Przyjmowała mnie jakaś Rosjanka. Powiedziała, że inżynier Sznek, który był wtedy pełnomocnikiem do spraw repatriacji wyjechał do Polski i nie będę się mógł z nim zobaczyć. Powiedziałem, że muszę się z nim koniecznie spotkać. Zastępca również jest nieobecny i będzie dopiero jutro. Nie ustępowałem. Co ja miałem robić, gdzie iść na nocleg. Dali mi taką przepustkę, żebym zanocewał gdzieś przy Placu Czerwonym w hotelu. Udałem się do tego hotelu, ale tam powiedzieli, że jest za późno i nie przyjmą mnie. Wróciłem na stację kolejową, zdałem walizki do bagażowni. Całą noc przeleżałem na ławce. Było to 28 kwietnia. Następnego dnia rano poszedłem do ambasady. Szneka nie było, spotkałem się z zastępcą. Powiedział, że bez Szneka nic nie może poradzić. To bardzo ważna sprawa - mówię - żebyście od razu dali dokument. On na to: Musi pan wyjechać w ramach normalnej repatriacji. Jeszcze jedno. Nie ma pan prawa być na 1 Maja w Moskwie. Dla uspokojenia dali mi 200 rubli jako zapomogę i pojechałem z tym na dworzec zachodni w Moskwie. Udałem się do Grodna, byłem tam już 1 maja rano. Z Grodna dostałem się do rodziny żony do Ejsmont, 15 kilometrów od Grodna. Zaraz rozpocząłem działania związane z wyjazdem do Polski. Poszedłem na pocztę, miałem numer telefonu żony więc zadzwoniłem do niej. Żony akurat nie było. Była na jakimś kursie. Ona była księgową. Była tylko jej zastępczyni.

Powiedziałem jej jakie dokumenty będą mi jeszcze potrzebne, poświadczenie obywatelstwa polskiego. Na drugi dzień, kiedy znów chciałem telefonować, już mi nie pozwolili zamówić rozmowy do Polski, bo za pierwszym razem rozmawiałem zbyt otwarcie. W biurze gminnym zrobiłem odpis swojej karty zwolnienia z łagru i poprosiłem, żeby to potwierdzili w gminie, ponieważ dowiedziałem się, że zabierają kartę i nic więcej nie dają. Nie ma człowiek żadnych podstaw, żeby poświadczyć, że tyle lat odsiedział w łagrze. Wydają tylko odpowiednie normalne dokumenty repatriacyjne, bez żadnego poświadczenia. Zrobiłem ten odpis i poszedłem w Grodnie na milicję, aby zdać swoją kartę zwolnienia i załatwić kartę repatriacyjną. Z trudem dostałem się tam, ponieważ Polaków stała masa, zapisywali się, a ten naczelnik przyjmował jedną osobę na godzinę, często wychodził z biura. Osoby czekające na wyjazd do Polski, było ich czasem nawet 50, nie mogły nic załatwić przez cały miesiąc. Ja się jednak uparłem. Wepchnąłem się na siłę. Powiedziałem, że muszę szybko wyjechać do Polski, bo nie mam gdzie mieszkać. Przyjął mi tę kartę. Zobaczył, że jestem z łagru z Workuty, spytał czemu nie jechałem stamtąd. Byłem chory - mówię - musiałem przyjechać tutaj. Przyjął dokumenty i kazał czekać. Żadnego pokwitowania mi nie dał. Mówię mu, że przecież zostaję bez żadnych dokumentów. To nie, my będziemy wiedzieć - odpowiada.

Czekałem tydzień, drugi, trzeci. Miesiąc. Są dokumenty? Nie ma. Jak to nie ma? - pytam. Jeszcze nie zrobione. Ale u mnie jest sprawa nagląca. Muszę jechać do rodziny. My nie możemy tak szybko załatwić.

Było to świadome działanie. Po 6 tygodniach zwróciłem się do naczelnika KGB i przedstawiłem sprawę. 6 tygodni -

mówię - i nic nie załatwione. To proszę mi dać zwolnienie z łagru, ja pojedę do Moskwy. Z ambasady będę mógł wyjechać szybciej. To tak siadaj i jedź - mówi. Bez dokumentów nie pojedę, dajcie mi przepustkę. - Nie damy. Zdenerwowałem się, więcej tam nie pójdę - pomyślałem. Napisałem do prokuratora w Moskwie, że nie załatwiają mojej sprawy, że zabrali wszystkie dokumenty i jeszcze żądają obywatelstwa polskiego. Przysłali mi z Polski, że mam obywatelstwo polskie. Jeszcze jak wstępowałem ochotniczo do Wojska Polskiego w 1937 roku, to zachowane było u matki świadectwo obywatelstwa. Matka przysłała mi z Polski to poświadczenie. Przedstawiłem je. Szybko chwycili to i trzymają. I znówu dalej nic nie ma. Upłynęło dwa miesiące. Z prokuratury otrzymałem zaświadczenie, że moja skarga jest rozpatrzona, ale w jaki sposób nie mówią, nie piszą. Nie szedłem do nich, bo się pokłóciłem. Poszedł mój szwagier. Jak go zobaczyli to spytali dlaczego ja nie przychodzę. Dokumenty są gotowe. Poszedłem więc tam, wołają mnie do pokoiku. Siedzi tam trzech cywilów i zaczynają mnie brać w obroty. Jakim cudem zwolniony, my wiemy, gdzie mieszkasz, byliśmy tam. Ja przecież odsiedziałem wyrok i zostałem zwolniony. Chyba mam prawo być odważny. Oni do mnie w sposób grubiański, to ja do nich po łagrowemu, O wy "kopnięte w mózg" itd., zobaczyli co ja wyrabiam. Wiesz w jakich ty się rękach znajdujesz? Wiem- mówię. To dlaczego tak rugasz się? Bo tak mnie wychowaliście, ja innej mowy rosyjskiej nie znam, bo się nie uczyłem. Nie dali mi dokumentów. Upłynęły jeszcze dwa tygodnie. Poszedł szwagier. Naczelnik mówi: Niech przychodzi, dokumenty już gotowe. Szwagier wrócił. Następnego dnia poszedłem. To było gdzieś 20 września 1957 roku. Dostałem dokumenty. Nawet jutro możesz pan jechać. Dostałem

bilet. Wróciłem do domu. Pożegnałem się z teściową.

Z Grodna pojechałem na granicę do Brześcia. Stamtąd do Białej Podlaski. Później do Czerwińska, żona mieszkała w woj. białostockim. Nie chciałem tam mieszkać, bo było dużo Białorusinów. Chciałem jechać z żoną na Zachód, ale potem z Czerwińska wróciłem do żony. Pobyłem tam 6 miesięcy i pojechałem na Zachód, do Goleniowa. Tam była moja matka. Po miesiącu zabrałem żonę. W Goleniowie mieszkam po dziś dzień.

Jestem niewidomy. Miałem wielkie nasświetlanie oczu. W czasie pierwszego badania u generała w Mińsku nasświetlali mi tak wzrok, że musiał interweniować lekarz i kroplami leczył mnie przez dłuższy czas. To minęło. Potem było drugie śledztwo Mimokurło, znowu się wzrok załamał. W kopalni z wycieńczenia organizmu powstało uszkodzenie siatkówki. W 1963 roku, już w pięć lat po powrocie do kraju straciłem zupełnie wzrok. Jestem w smutnym położeniu, ale taki jest los patrioty, Polaka oddanego sprawie wolności, niepodległości Ojczyzny. Stałem się inwalidą. Po przyjeździe do Goleniowa znalazłem pracę w urzędzie powiatowym. Bardzo szybko zostałem z niej zwolniony i miałem kłopoty w każdej pracy którą rozpoczynałem. Pomimo kalectwa staram się być pogodny, nie załamywać się, być aktywny. Od 1963 roku piszę wiersze, aktualnie kończę swoje pamiętniki.